

Paweł Jasienica
Polska anarchia

Tom

Całość w tomach

Polski Związek Niewidomych
Zakład Wydawnictw i Nagrań
Warszawa 1990

Tłoczono w nakładzie 100 egz.
pismem punktowym dla niewidomych
w Drukarni Pzn,
Warszawa, ul. Konwiktorska 9
Pap. kart. 140 g kl. III_Ba1

Przedruk z "Wydawnictwa
Literackiego",
Kraków 1988

Pisał A. Galbarski,
Korekty dokonały
K. Kruk i K. Kopińska
Kollizja litewska

Na zachodnim skraju Puszczy
Rudnickiej, nad piękną
Mereczanką, nieco powyżej ujścia
do niej leśnej rzeczki Solczy,
leży miasteczko Olkieniki. Przy
torze kolejowym z Warszawy do
Wilna istnieje stacyjka tej
nazwy, ale teatru wydarzeń, o

których za chwilę, z okien
pociągu nie widać. Kraj
tamtejszy odznacza się posępnym
urokiem, jest piaszczysty,
porosły sośniną i bardzo ubogi.
Ostatniej jesieni XVII stulecia
skonfederowana szlachta litewska
rozłożyła się pod Olkienikami
obozem. Dwunastotysięczną
przeszło armię długo gnębił
chłód, zanim doniesiono, że
traktem grodzieńskim nadciąga od
strony Wilna nieprzyjaciół. Był
nim Kazimierz Jan Sapieha,
hetman wielki litewski i
wojewoda wileński.

Działo się to w listopadzie
1700 roku, na samym niemal
początku panowania Augusta II
Mocnego, króla Rzeczypospolitej

Obojga Narodów i księcia
Saksonii. Nowy monarcha zdążył
już być przed paru laty poważnie
zmniejszyć wojsko litewskie i
zorganizować w Grodnie publiczną
ceremonię łamania sztandarów
rozwiązanych pułków. Wojna
domowa, upuszczająca krwi
poddanym, nie musiała go zbytnio
martwić. August zamierzał
wprowadzić ład opierając się na
własnych, niemieckich, na
czerwono przystrojonych
regimentach. Okazji po temu
miała dostarczyć kampania
przeciwko Szwecji, prowadzona do
spółki z carem Piotrem I i
Chrystianem duńskim. Działania
już się rozpoczęły i przyniosły
pierwsze niepowodzenia. Nie
udało się zaskoczyć i wziąć
Rygi. Szwedzki dowódca patrolu
wykrył, że fury, ciągnące nocą
do miasta rzekomo na targ, wiozą
broń, a idący przy nich chłopci
to przebrani grenadierzy sascy.
W sierpniu osiemnastoletni Karol
XII błyskawicznie rozbił Danię i
podyktował jej pokój.

August II nie patronował
zgrupowanej pod Olkienikami

szlachcie. Ona zaczęła się burzyć i rwać do broni już za poprzedniego panowania. To Jan III był tym, który postanowił sięgnąć po stary, od stuleci zapomniany sposób. Własne doświadczenie go pouczyło, że wysuwanie jednego wielkiego pana przeciwko drugiemu do niczego nie prowadzi. Wczorajszy protegowany, wziąwszy górę, nazajutrz zmienia bowiem front, zaczyna robić to samo, co czynił poprzednik. Magnat spycha magnata i zaraz zajmuje jego miejsce. Bruździli królowi Pacowie, więc poparł Sapiehów. Lecz kiedy i ci stanęli okoniem, Jan III poruszył szlachtę, rozjątrzoną uciskiem królewiat.

Niech nam ludzie ówczesni własnymi słowami opowiedzą, co znaczył wtedy na Litwie ród Sapiehów: "Naprzód bowiem

Kazimierz Jan Sapieha był wojewodą wileńskim i hetmanem wielkim. Brat zaś jego, Benedykt, podskarbin Wielkiego Księstwa Litewskiego. Synowie zaś Kazimierza Jana Sapiehy tymi honorami byli uczczeni: jeden był marszałkiem wielkim, drugi stolnikiem, a trzeci koniuszym Wielkiego Księstwa Litewskiego (oraz, dodajmy od siebie, generałem artylerii litewskiej, generałem majorem wojsk cesarza Leopolda). Którzy wszyscy przy domowej wielkiej fortunie i będąc jeszcze do tego przez królów panów i Rzeczpospolitą wsparci różnymi beneficjami, starostwami, dzierżawami... A do tego skarb Wielkiego Księstwa Litewskiego będąc w Sapieżyńskim domu..."

Naiwna relacja starczy za wszelkie analizy "mechanizmów". Potęga materialna, o jakiej darmo by marzył skarb w Warszawie, skupienie w jednej

rodzinie najważniejszych
urzędów sprawowanych dożywotnio
i nieodpowiedzialnie! W
Rzeczypospolitej Obojga Narodów
tylko władzy królewskiej tak
dobrze jak brakło, magnacka
osiągała wręcz wyjątkowy
stopień koncentracji. I w tym
właśnie względzie Litwa
zdecydowanie górowała nad
Polską. Sapiehowie mieli
poprzedników. Byli nimi Pacowie,
Radziwiłłowie, Gasztołdowie.

Jan III poruszył przeciwko
wielmożom szlachtę. Oręż, którym
przed dwustu laty z powodzeniem
posługiwał się Jan Olbracht,
teraz zawiódł. Zardzewiał,
popsuł się. Za długo leżał w
rupieciarni. A najważniejsze, że
odwykł służyć właściwej ręce.

"Wszystka Polska mówiła
niemal, że dla kollizji
litewskiej ginie" - napisał
anonimowy autor "Kroniczki
litewskiej", odnoszącej się do
tych czasów. Bazylianin, ksiądz
Jan Oleszewski, zostawił nam po

sobie dzieło o tytule, który
dobrze oddaje zarówno gust
literacki epoki, jak i koloryt
dziejów: "Abrys domowej
nieszczęśliwości i wewnętrznej
niesnaski, wojny, Korony
Polskiej i Wielkiego Księstwa
Litewskiego pro informatione
potomnym następującym czasom
przez jedną zakonną osobę świata
pokazany i z żałością wyrażony".
Niepewnego autorstwa pamiętnik,
tradycyjnie przypisywany
Erazmowi Otwinowskiemu,
twierdzi, że pod sam koniec XVII
wieku tysiące ludzi uciekało z
Litwy, gdzie oczy poniosą:
"jedni do Inflant, drudzy do
Prus Brandenburskich poszli, cum
infallibili salutis iactura w
kalwinia i luterania obracając
się". Nawet życzliwy Sapiehom
biskup Andrzej Chryzostom

Załoski musiał wyznać, że
"ustały na Litwie prawo,
sprawiedliwość, wstyd; wszystko
podlega mieczowi, rządzi, kto
mocniejszy, a prawa dyktuje
brzydka namiętność. Trzeba się
obawiać, aby za taki ucisk
szlachty, choć powoli, nie
nastąpiła kara boża..."

"O, quam pulchrum
spectaculum!" - powiedział
pewnej nocy "Machiawel
litewski", podskarbi Sapieha,
przyglądając się płonącej wiosce
szlacheckiej.

Zazwyczaj jednak nie trzeba
było uciekać się aż do takich
metod pacyfikacji. Brat
podskarbiego, hetman,
rozporządzał wszak środkiem
niezawodnym - kwaterunkiem
wojska. Żołnierzy oraz ich konie
trzeba było karmić, ale to
jeszcze nie wszystko. W
ówczesnym wojsku litewskim każdy
towarzysz usarski, pancerny lub
petyhorski miał prawo trzymać
kilkanaście głów czeladzi,
"którym nie panowie, ale oni
panom płacili, dawając każdy od
siebie po taleru bitym i więcej
drudzy, na tydzień, do tego i

pana, i siebie sustentowali; a
takim wolno było rabować, co
chcieli, na czaty wychodząc".
Wobec takiego regulaminu służby
wewnętrznej cóż dziwnego, że
wsie pustoszały, "że i znaku,
gdzie budynki stały, nie
zostało"?

Jan III przeciągnął był na
swoją stronę biskupa
wileńskiego, Konstantego
Kazimierza Brzostowskiego. W
roku 1689, podczas sejmu w
Warszawie, poseł Kazimierz
Stanisław Dąbrowski, wierny
sojusznik najpierw Paców, potem
Sapiehów, uderzył hierarchę. W
izbie rozbłysły szable, a prymas
Michał Radziejowski dotknął

kościół stołeczny interdyktem, zaraz zresztą cofniętym z woli nuncjusza. (Spór biskupa z hetmanem nie nosił charakteru totalnego, nie wykluczał zgody w innych sprawach. W tym właśnie czasie Sapieha wydał Brzostowskiemu nieszczęsnego Kazimierza Łyszczyńskiego, straconego wkrótce za rzekomy ateizm, a niewątpliwie wolnomyślicielstwo).

W pięć lat później, już u siebie, w Wilnie, Brzostowski znowu zastosował sankcje kościelne. 8 kwietnia 1694 roku, za spustoszenie dóbr duchownych przez Tatarów sapieżyńskich, rzucił klątwę. Kiedy osobiście ogłaszał ją w katedrze - "pan hetman na Antokolu na wżgardę biskupowi z dział bić kazał". Nuncjusz i tym razem wdał się w sprawę. Anatemę cofnięto. Kat spalił publicznie jej tekst na rynku wileńskim. Tak chciał Sapieha.

W 1696 roku stanęła w Brześciu pierwsza antysapieżyńska konfederacja szlachty. Przewodził Hrehory Ogiński, chorąży litewski. Wspierali go Pocijowie oraz rodzina Kryspin_Kirszenszteinów. Byli to mieszczaństwo z Królewca, których Jan III umyślnie wysoko

awansował. Król zabezpieczał się, jak widać. Pojmował, że na czoło ruchu czysto szlacheckiego muszą się wysunąć inni magnaci i szukał gdzie indziej przeciwwagi.

Hetman otoczył Ogińskiego w samym Brześciu i głodem zmusił do układów. Zawarto kulawy kompromis. Wśród bicia dzwonów i uroczystego "Te Deum" we wszystkich kościołach Sapieha wjechał do miasta.

Wczesną wiosną 1698 roku znowu poszło na ostre (tak się dziwnie składało, że walki wybuchały

gwałtowniej w latach parzystych). Część wojska wypowiedziała hetmanowi posłuszeństwo, Ogiński zaś skupił swoich pomiędzy Dubissą a Niewiażą. Gotował się do energicznego działania i pragnąc skrzepić męstwo szlacheckie, przyrzekł podwładnym rabunek Kowna. Zanim jednak udało się urzeczywistnić zamiar, Sapieha zamknął sprzysiężonych w widłach Niemna i Niewiaży. Nie wdając się w bitwę, marszałek konfederacki rozwiązał oddziały, oddał wrogowi obóz, zapasy, chorągwie.

22 lipca August II doprowadził do rozejmu. W tej samej jednak chwili, kiedy w Warszawie przedstawiciele zwaśnionych obozów kładli podpisy na dokumencie pokoju, na pograniczu litewsko-pruskim zaszły wypadki uniemożliwiające go zupełnie. Pod Jurborkiem Michał Sapieha, o którym zaraz pomówimy obszerniej, frontalnym atakiem uderzył na ponownie zgromadzonych konfederatów. Szlachta początkowo biła się dzielnie, lecz nie wytrzymała ognia dział. Lekkie chorągwie tatarskie ścigały rozproszonych. Na placu zostało kilkaset trupów; wielu uciekających utonęło w Niemnie. Niedobitki uszły do Prus.

Teraz dopiero Sapiehowie, zwłaszcza ci młodszy wiekiem,

roz hulali się bez skrpułów. Zrażali sobie własne wojsko, które wcale nie tak bardzo pragnęło przelewu krwi. Jeszcze przed starciem jurborskim deputaci sił sapieżyńskich zawarli ze szlachtą rozejm w Szkudach. Za niekarność i samowolę hetman kazał stracić, ściąć czy też rozstrzelać obydwu tych deputatów, Bokieję i Karola

Białłozora.

W sierpniu tegoż 1698 roku zawiązano w Wilnie nową konfederację. Wodzem jej został Michał Kazimierz Kociełł, kasztelan witebski. Warto pozwolić sobie na dygresję, bo postaci tej należy się nieco uwagi.

W nadniemeńskim miasteczku Bienica wznosił pan Kociełł dla siebie pałac, dla Stwórcy zaś oraz bernardynów kościół i klasztor. Zawczasu przygotował sobie grób murowany w świątyni, a czując bliski zgon zawezwał malarza i kazał mu wykonać swój portret. Jeszcze w początkach XX wieku można było oglądać w dworze bienickim ów konterfekt. Przedstawiał ubranego w kontusz szlachcica, u którego stóp leżały pękate mieszki oznaczone rozmaitymi liczbami. Tuż przed śmiercią dziedzic oświadczył, że wyobrażoną na malunku sumę bierze ze sobą do mogiły i nie da jej nikomu ruszyć, chyba "kościół do ostatecznej przyszedł inflagracji". Któż tylko później tych pieniędzy nie szukał! Przełożony zakonu, kiedy dach na eremie spłonął, starsza krewna pewnego pisarza polskiego... Pan Kociełł odznaczał się widać dość makabryczną odmianą poczucia humoru.

Zmarł w roku 1722. Okazałe budowle w Bienicy wznoszono akurat wtedy, kiedy "kollizja litewska" osiągnęła sam szczyt. W roku 1700, który od początku jakoś źle wróżył Sapiehom.

W lutym wybory marszałka trybunału litewskiego nie wypadły po ich myśli. Został nim Karol Radziwiłł, popierany przez dwóch książąt Wiśniowieckich. Wkrótce potem prosty zbieg okoliczności przyniósł ciężkie

skutki. Wileńska ulica św. Jana jest wąska. Właśnie tam orszak hetmana zetknął się niespodziewanie z pojazdem Wiśniowieckich, których zaprzęg był przypadkiem zupełnie podobny do koni Kocięła. Sapieżyńscy dali ognia, zbodli karete rapierami. Zanim się nieporozumienie wyjaśniło, obaj książęta ucierpieli. Przeprosiny nie pomogły. Może dlatego, że jeden z Wiśniowieckich miał dwadzieścia dwa lata, drugi był młodszy o dwie wiosny. Konfederacja zyskała potężnych stronników oraz ich nadworne regimenty.

W lipcu król wezwał poddanych do mobilizacji w obronie granic. Poprzednie przewidywania zawiodły bowiem. Szwecja, w której August, Piotr I i Dania upatrywali łatwy łup, okazała się przeciwnikiem strasznym. Od razu wzięła górę.

Oba obozy litewskie skwapliwie posłuchały uniwersałów monarchy. Hetman na nowo zwerbował pułki, szlachta poszła na pospolite ruszenie. Pan Kocięł zgromadził je w samym sercu Wielkiego Księstwa, pod Oszmianą.

("Oszmiański powiat - powiada Erazm Otwinowski - w województwie wileńskim wielkością szlachty przewyższa inne, że można go in longitudine et latitudine za województwo poczytać, na ten powiat cała Litwa zawsze się zapatruje, jako Mała Polska na województwo sandomierskie"). Szlak bojowy zawiódł konfederatów pod Olkieniki. Tam również zmierzał hetman na czele trzech tysięcy zbrojnych i ośmiu dział. Obie strony myślały o ostatecznej

rozprawie ze sobą, a nie ze Szwedami.

W ostatniej niemal chwili, w

karczmie obok miejscowości
Lejpuny, biskup Brzostowski,
sufragan Zgierski i kanonik
Szaniawski daremnie usiłowali
doprowadzić do rozejmu.

18 listopada 1700 roku,
jeszcze przed świtem, hetman
pchnął ku Olkienikom podjazd stu
osiemdziesięciu Tatarów.
Jednocześnie dwunastotysięczna
armia konfederacka wyszła z
obozu, strzeżonego nadal przez
dwie chorągwie. Spotkanie
nastąpiło przy trakcie
grodzieńskim.

Dniało, kiedy między liniami
zaczęli się ścierać harcownicy.
Salwa z dział sapieżyńskich
zmiotła od razu kilkudziesięciu
jeźdźców, lecz w tej samej
chwili na tyłach wojsk hetmana
pokazała się ława szarżującej
kawalerii.

Nocą przyszło konfederatom na
pomoc jeszcze tysiąc szabel.
Przywiedli je Hrehory Ogiński i
strażnik litewski Ludwik
Konstanty Pociiej. Nie połączyli
się oni jednak z głównym
korpusem. Zatoczyli wielki łuk,
lasami wyszli na tyły wroga. Huk
jego dział uznali za sygnał do
ataku, od frontu zaś
dwudziestoletni Michał Serwacy
Wiśniowiecki, "najwyższy
pułkownik województw i
powiatów", ruszył swoich. Konne
tłumy szlacheckie obskoczyły
zewsząd trzytysięczne wojsko
Sapiehów.

Hetman wraz z bratem
Benedyktem od razu pojęli, co
się święci, i uszli z placu.
Komenda przeszła w ręce
koniuszego Michała, tego samego,
co dwa lata wcześniej tyle
dokazywał pod Jurborkiem. U
sapieżyńskich najmężniej
walczyli Tatarzy. Trzy ich
chorągwie, zupełnie otoczone na
prawym skrzydle, szablami
otworzyły sobie drogę. Oddziały

krajowe oraz regimenty cudzoziemskiego autoramentu były się dość miękko. Za to szlachta, wiedząc, co ją czeka w razie przegranej, "ostatnim potykała się azardem".

Kawaleryjska rąbanina trwała przez cały krótki, listopadowy dzień. Ku wieczorowi Sapieha wysłał parlamentariusza. Zastrzelono go, zanim dotarł, gdzie miał nakazane. Ściemniło się na dobre i śnieg zaczął prószyc, kiedy koniuszy wraz z półtora tysiącem ocalałych złożył przed Wiśniowieckim broń. Książęta zapewnili mu życie, osobiście odstawili go do Olkienik i osadzili w klasztorze franciszkanów.

Nie dybali oni wcale na gardło jeńca. Dużą rolę grać musiała stanowa solidarność magnacka, która sprawiła, że niektórzy wielmoże zza Buga, oficjalnie zachowując neutralność, po cichu sprzyjali Sapiehom. Tuż przed batalią olkienicką hetman wielki koronny Stanisław Jabłonowski podesłał im na pomoc nieco żołnierzy. Zgodnie z rozkazem, szli oni chyłkiem, grupkami po kilkanaście koni, przebrani i z ukrytą bronią.

Solidarność magnacka była faktem, ale nie ją jedną należy liczyć. Znaczyć coś musiała i osobista kultura. Wiele się tu złego mówiło o wielmożnych, wspominało na przykład nazwisko Paców. A przecież to w dobie ich bez wątpienia szkodliwej przewagi na Litwie, z ich polecenia i za ich własne pieniądze stanął w Wilnie na Antokolu kościół Świętych Piotra i Pawła, jeden z najwspanialszych zabytków baroku na kontynencie.

W Olkienikach tryumfował motłoch szlachecki. Przewalały się po miasteczku tłumy pijane do zbydlęcenia. Kociełł, Ogiński i chorąży zmudzki Stanisław Zaranek nie żałowali wódki.

Przez całą noc roznoszono ją
kufami. Pod szablami panów braci
padali więźci do niewoli
stronnicy Sapiehów. Tak zginął
starosta braclawski Michał Woyna
i chorąży tamtejszy Mirski.
Niez mordowanie uwijał się i
podjudzał "krwawy ksiądz",
kanonik wileński Krzysztof
Białłozor, rodzony brat Karola,
straconego z rozkazu hetmana.
Postawił na swoim, lecz dopiero
nad ranem, kiedy szlachta -
"przeciwko Bogu i sumieniu
obowiązek przyrzeczonego słowa
złamawszy i nie dotrzymawszy...
będąc zgrają z podpojenia
trunkiem zuchwałą i w zajadłości
i gniewie raczej bestiej
okrutnej aniżeli ludziom
podobną, na żadną zwierzchność i
powagę ksiąząt nic nie
respektując..." - rzuciła się na
dom klasztorny obstawiony warta.

Żołnierze Wiśniowieckich mocno
"wsparli" napastników, obronili
drzwi. Nie było posterunków na
dachu. Poleciały w dół gonty,
łaty, krokwie. Zdarto deski
powały. Więzień ujrzał nad głową
rozjuszony gęby, przez okno
wtargnął do celi kanonik
Białłozor. Śmierć mając w
oczach, Michał Sapieha ukląkł
przed duchownym. Prosił o
wysłuchanie ostatniej spowiedzi.

- Ot! masz absolucyjną! -
krzyknął ksiądz, bijąc
klęczącego po twarzy.

Wiśniowieckim zdawało się, że
zdażyli na czas. Wzięli jeńca
między własne książęce osoby,
prowadzili go do podstawionej
karety. "Wtenczas niejaki
Świdorski ciał z tyłu w głowę
koniuszego, że upadł na ziemię,
a książęta ledwie się salwowali;
tam dopiero furor populi
dokazywała nad nim, rozrabano
straszliwie ciało na sztuki,
gdzie trzy dni tratowane w
błocie na ulicy leżało".

Biskup Brzostowski też chciał ratować. Sam się z trudem uratował, uciekając do kościoła.

"Tym terminem zakończona ta nad Domem Sapieżyńskim Rzeczypospolitej wiktoria". W niespełna dwa tygodnie po Olkienikach, 30 listopada, Karol XII rozgromił pod Narwą całe wojsko Piotra Wielkiego. Na początku 1702 roku Szwedzi zajęli Wilno, 24 maja byli w Warszawie, 7 sierpnia w Krakowie.

Jest absolutnie pewne, że dobro kraju nie nakazywało wtedy udziału w koalicji i wojny ze Szwecją. (Karol XII też ze swej strony popełnił katastrofalny błąd, kiedy wbrew zdaniu doradców odrzucił pojednawcze propozycje senatu polskiego i uderzył na Rzeczpospolitą. Genialny taktyk nie miał najmniejszego pojęcia o polityce ani o strategii). Podsumowanie, zestawienie raczej, którego trzeba teraz dokonać, ważne będzie dla ogólnej oceny położenia, a nie tylko dla staczonej wówczas kampanii.

Pod Olkienikami walczyło po obu stronach około szesnastu tysięcy zbrojnych. Poprzednie starcia też sporo Litwę kosztowały. Siedemnaście lat wcześniej Wielkie Księstwo posłało na wiedeńską wyprawę Jana III dwanaście tysięcy wojska. Nie uczestniczyło ono w sławnej bitwie. "Spóźniło się", bo tak chciał hetman, tenże sam Kazimierz Jan Sapieha. W dniu batalii było jeszcze w Polsce, w pobliżu Krakowa. Potem w szkaradny sposób spustoszyło Bogu ducha winną Słowację, jęcząc Węgrów przeciwko Polakom i marnując przez to zamiar króla współpracy z Madziarami. 11 listopada 1683 roku Jan III pisał o tym do Marysieńki:

"Litwa po zadzie się wlecze,
omijając z daleka nie tylko
fortece tureckie, ale i granice.
Byli od nas już tylko o kilka
mil, ale nie dawszy znać o
sobie, ani starszyzna zbiegłszy
przodem do nas, jako byli

powinni, zostali się czegoś
znowu w kwaterach cesarskich
koło Lewencu, wniwecz ich
obracając i czekając na jakieś
działa, z których do kogo oni
będą strzelać, my zgadnąć nie
możemy. Dosyć dokażą, że od
Wilii przyjdą aż do Cisy
ciągnięciem z stanowisk do
stanowisk, nie widząc
nieprzyjaciela".

Ten sposób postępowania miał
tradycje. Kiedy w listopadzie
1673 roku hetman wielki koronny
Jan Sobieski odniósł znakomite
zwycięstwo pod Chocimiem i
chciał je do głębi wyzyskać,
jego litewski kolega Michał Pac
zabrał większość swoich i
odszedł do domu. Przy tych
koroniarzach, których uczynek
Paca nie zdemoralizował, wytrwał
Michał Kazimierz Radziwiłł,
hetman polny, z tysiącem
żołnierzy za ledwie. Dokładnie to
samo powtórzyło się jesienią
1674 roku, gdy eks_hetman
Sobieski był już Janem III.
Armia Rzeczypospolitej odnosi
powodzenia, świta możliwość
przeniesienia działań na
terytorium wroga - Pac odchodzi
na Litwę, w obozie zostaje
Radziwiłł. Mało pomógł pełen
oburzenia rozkaz królewski, by
dezercerzy nie ważyli się
"imieniem żołnierzy mianować".
Pac dożywotnio piastował swą
godność. Wziął ją po nim Sapieha
i czynił to samo, co poprzednik.
Jedna z dwóch części składowych
Rzeczypospolitej wyłamywała,
sabotowała politykę własnego
monarchy.

Herby szlachty litewskiej,
która naprawdę uczestniczyła w
bitwie pod Wiedniem, wymalowano
na pamiątkę w grodzieńskim
kościółce bernardynów (w tym
samym, gdzie się zaczyna akcja
"Ostatniego Sejmu
Rzeczypospolitej" Reymonta).
Zmieściły się wygodnie na
zwieńczeniu nawy głównej. Ta
okoliczność wręcz uzmysławia

sens zabiegów Jana III, który
popychał ziemiaństwo przeciwko
magnatom. Chodziło o
ureczywistnienie władzy
państwowej.

W roku 1683 Wielkie Księstwo
nie pomogło królowi, który
zamierzył nie tylko pokonać
groźnego wroga na cudzym
terenie, swego nie niszcząc,
lecz zdobyć ponadto za Karpatami
punkt oparcia dla reformy w
kraju. W kilkanaście lat później
trwoniło znaczne siły w wojnie
domowej. Szlachta odniosła
sukces i wyzyskała go w sposób
równie katastrofalny, jak
haniebny.

Obaj starsi Sapiehowie, hetman
i podskarbi, uciekli w
przebraniu ku granicy pruskiej,
przebyli ziemie elektora i nie
oparli się aż w Lidzbarku
Warmińskim, u biskupa
Załuskiego. Z czasem wylądowali
w obozie szwedzkim, stali się
przysięgłymi (do czasu!)
stronnikami Karola i przy jego
boku szukali zemsty. Wrogowie
ich od razu pociągnęli, rzecz
jasna, w przeciwnym kierunku.
Nie oglądając się na Koronę ani
na własnego króla, który
lawirował i wolałby pokój,
Wielkie Księstwo zawarło sojusz
z carem, występując jako
"Rzeczpospolita Litewska".
Oddano Piotrowi twierdzę w Drui,
pozwolono mu wprowadzić wojska
do kraju, gospodarzyć w nim

swobodnie. 19 czerwca 1702 roku ukazało się orędzie carskie do litewskich "burmistrzów, rajców, ławników, mieszczan i wszęgo pospółstwa". Obiecywało rozmaite dobrodziejstwa, zapraszało do przesiedlania się w głąb Rosji. Piotr objął protektorat nad Litwą. Postanowienia Unii Lubelskiej doraźnie przestały obowiązywać. Carskie instrukcje dla dyplomatów, aczkolwiek tajne, wyraźnie zdradzają zamiar zupełnego zniweczenia związku Wielkiego Księstwa z Koroną,

przyjęcia go pod zwierzchność Moskwy.

Filary rosyjskiego stronnictwa na Litwie to zwycięscy wodzowie spod Olkienik. Na pierwsze wśród nich miejsce znowu wybił się Michał Serwacy Wiśniowiecki. Jego początkowe skrupuły nie oparły się wizji buławy hetmańskiej. Nigdy ich nie żywił oficjalny "prezydent Wielkiego Księstwa Litewskiego" przy carze. Był nim kanonik Krzysztof Białożor. "Krwawy ksiądz" podpisywał układy Wilna z Moskwą, wraz z Piotrem Wielkim podróżował aż do Archangielska. Musiał to potem rzewnie rozpamiętywać w więzieniu, gdzie spędził nieco czasu, schwytany w roku 1708 przez podjazd sapieżyński. Od kary śmierci ocaliła go interwencja kapituły wileńskiej, wsparta kłatwą, rzuconą na miasto przez biskupa, a wyzwoliło ostateczne zwycięstwo odniesione przez jego protektora pod Połtawą.

Historia zadrwiła potężnie. Do utrzymania i wzmocnienia związku Polski z Litwą przyczyniła się walnie presja moskiewska. Można śmiało twierdzić, że do Unii Lubelskiej dopomogli Wasyl III oraz Iwan Groźny, którzy zdobyli kolejno Smoleńsk i Połock,

nieustępliwie żądali Kijowa,
Halicza i wszystkiego po "Białą
Wodę", czyli po Wisłę. Teraz
Litwa w chwili krytycznej szła
samopas pod zwierzchność
państwa, będącego dziedzicznym
wrogiem jej właśnie, a nie
Korony. Znany nam z Olkienik
Stanisław Zaranek jeździł do
Warszawy jako poseł Wielkiego
Księstwa. Zadanie jego polegało
na zwalczaniu tendencji
pacyfikacyjnych i
neutralistycznych, które
przeważały w Polsce. Przyjawszy
protektorat Piotra, Wilno
ciągnęło za sobą i Warszawę. W
roku 1704 cała Rzeczpospolita
zawarła z nim sojusz, który w

danych okolicznościach równał
się dyktaturze cara.

Państwo miało wtedy fatalnego
kierownika. August II popełnił
właściwie przestępstwo, knując
wojnę i rozpoczynając ją. Kiedy
się w roku 1701 opamiętał i
spróbował cofnąć, fakty dokonane
stworzyli jego litewscy poddani.
Jedni związali się z Karolem,
drudzy z Piotrem. W Koronie
szary ogół chciał pokoju i
neutralności, magnaci też byli
do kupienia.

Zerwaną chwilowo czy też
nadwątloną unię polsko_litewską
wznowiono. Tylko rzeczywista
suwerenność już nie powróciła.
Jak wiadomo, kolumna Zygmunta
pozostała w Warszawie jedynie
dlatego, że Piotr nie znalazł
sposobu przewiezienia jej nad
Newę, do Petersburga. Wspomniany
na początku autor "Kroniczki"
wcale nie przesadził.
Rzeczpospolita ginęła. Państwo
przestało istnieć u schyłku
XVIII stulecia. Niezawisłość
jego przepadła na początku owego
wieku. Licząc okrągło - w
ćwierćwiecze po wiktorii
wiedeńskiej Jana III.

Przyzwyczajaliśmy się sądzić,
że najciemniejsze karty naszych
dziejów zapisała doba rozbiorów.
Moim zdaniem czas "kollizji
litewskiej" był gorszy.
Samowolny, sprzeczny z prawem
układ z Piotrem nie jest mniej
haniebny od Targowicy. Zawarli
go obywatele państwa
suwerennego, urodzeni i
wychowani nie w tradycjach
zależności, lecz w swobodzie.
Ludzie, którzy Sobieskiego
znali, dobrowolnie poleźli w
jarzmo cara, którego siły Szwed
właśnie zdruzgotał.

Nie żałowałem miejsca na
szczegóły, starałem się pokazać
nie tylko sprawę wielkiej
polityki, lecz i sposób
zachowania się tłumów, nawet
jednostek. Obraz jest zupełnie
wyraźny. Pijana tłuszcza z

Olkienik może posłużyć za symbol
panujących w kraju stosunków.
Być może ci sami ludzie na
trzeźwo, podczas pokoju
postępowali przyzwoicie jako
osoby prywatne. Konfederaci
zgromadzeni pod Grodnem dwa lata
wcześniej nie rabowali i nie
gwałcili, trzymali się w
karcach. Jako obywatele
suwerennego państwa okazali się
zgrają warchołów prowadzoną
przez łotrów. Organizm
Rzeczypospolitej uległ
rozkładowi.

Początek XVII stulecia
wyglądał dość wspaniale,
zasługiwał na nazwę Srebrnego
Wieku. Sam jego kres
przy pieczętowały Olkieniki.
Rozkład dokonał się z
przeróżającą szybkością.

Naród?... Rasa?

W 1962 roku toczyła się w
"Przeglądzie Kulturalnym"
długotrwała dyskusja

zapoczątkowana moim artykułem o "Polskiej anarchii". Wskutek niepojętego nieporozumienia przypisano mi twierdzenie, że wspomnianego zjawiska nigdy w Polsce nie było. Powiedziałem wtedy i ogłosiłem drukiem czarno na białym: "A więc w średniowieczu normalnie... z pewnymi odchyleniami w stronę większej dyscypliny moralnej i politycznej niż na przykład w Niemczech. Za to w stuleciu XVII i zwłaszcza w XVIII anarchia, chaos, ogólna niemożność. Aby się nie bawić w definicje, kładę nacisk na to ostatnie, gombrowiczowskie sformułowanie, bo ono najlepiej przylega do istoty rzeczy".

Oryginalne obyczaje zagnieździły się w naszej publicystyce. Zwięzłe twierdzenia nie wystarczają, nawet jeśli nazywają rzecz po imieniu. Trzeba koniecznie napisać referat na wiele

stronic, powtarzać w kółko jedno i to samo i zanudzić publiczność.

Istnienie u nas anarchii w określonej epoce dziejów jest faktem równie oczywistym, jak obecność piasku w Wiśle. Niektórzy uczestnicy dyskusji traktowali jednak tę anarchię jako szczególniejszy dar Niebios dla nacji polskiej. Uznawali ją po prostu za cechę charakteru narodowego. Takie ujmowanie kwestii nie jest niczym nowym, ma tradycje. Pewni teoretycy szlacheccy, w chwilach wolnych od pilnowania sianokosów czy młocki, zajmowali się spisywaniem swych uwag o świecie. Pan Bóg - głosili - wyznaczył rozmaitym narodom różne zadania. Anglikom kazał więc żeglować po morzach, Żydom kupczyć. Od Polaków zaś zażądał, aby go "rekreowali i cieszyli".

Bo - argumentowali - Stwórca musi się dobrze bawić, patrząc na nasze sejmiki, trybunały... Takie poglądy przeważały w stuleciu XVIII zwłaszcza. Wiek XVI, a nawet XVII był o wiele mniej skłonny do mistyki, mającej widać licznych zwolenników w XX.

Padają u nas ostatnio rozmaite interesujące twierdzenia. Na przykład: "Polacy nie umieją korzystać z wolności". Albo inne, wyrażone przez bardzo wybitnego pisarza: "...wielkie mocarstwo, które uległo rozbiorom dopiero w końcu XVIII wieku, i to dzięki nie litewskiemu, lecz polskiemu instynktowi anarchicznemu".

Rozprawialiśmy przed chwilą o Olkienikach, gdzie w przerażających objawach wyładowała się litewska przecieź, a nie polska "kollizja". Wiadomo, kto pognał wiązać się wbrew własnemu monarsze z Karolem XII i kto śpieszył bić czołem przed carem Piotrem. Informacja z kategorii encyklopedycznych: pierwszym

zrywaczem sejmu w Rzeczypospolitej był Władysław Siciński, stolnik upicki i poseł trocki. Później znalazł on w Wielkim Księstwie aż dwudziestu ośmiu naśladowców. Województwa ukraińskie wydały dwudziestu czterech takich, co krzyczeli "Veto!". Wielkopolska wraz z Mazowszem - dwunastu. Małopolska właściwa - dziewięciu. Przytoczyłem wynik dochodzeń profesora Władysława Konopczyńskiego. Od siebie mogę to tylko dodać, że Małopolska, Wielkopolska i Mazowsze były znacznie gęściej zaludnione, a więc procentowo wypadłoby to jeszcze bardziej wyraziście.

Biskup Brzostowski, pomimo

wszystko stronnikiem króla, czyli
ładu, wywodził się z koroniarzy.
Można by stąd wysnuwać wnioski
pochlebne dla rdzennej Polski.
Można, lecz nie warto. Kazimierz
Stanisław Dąbrowski, który w
izbie poselskiej pobił biskupa,
warcholił, jak tylko potrafił,
nie dał się monarsze przejednać
nawet podkomorstwem wileńskim,
całą duszą służył litewskim
królewicom - on także był z
pochodzenia koroniarzem. Jego
rodzina dopiero w XVII wieku
przesiedliła się z Mazowsza do
powiatu wilkomierskiego.
Dąbrowski zaczął karierę jako
towarzysz usarskiej chorągwi
koronnej, potem został
porucznikiem znaku litewskiego.
Augusta II, który - zdaniem
Konopczyńskiego - do reszty kraj
znieprawił, wbrew woli
większości pola elekcyjnego
ogłosił królem biskup kujawski
Stanisław Dąbski, koroniarz
rodowity. Ważył się na to,
aczkolwiek prymas już był
proklamował wybór Francuza,
księcia Conti. Stało się to w
czerwcu 1697 roku, całkiem
niedługo przed Olkienikami.

Ogół szlachty koronnej zdawał
się wtedy wykazywać więcej troski
o państwo, zrozumienia jego

potrzeb. Nie doszło tam do
takich wynaturzeń, jak wojna
domowa z pojedynczym rodem
magnackim, którego postępowania
nikt dłużej znieść nie mógł. Bo
też w Koronie przewaga
arystokracji nigdy nie wyraziła
się w postaci równie
skoncentrowanej. Przyczyn
różnicy szukać więc należy w
dziedzinie realnych
okoliczności, a nie w
mistycznych teoriach o
charakterach narodowych.
Zwalczające się, mniej więcej
równorzędne koterie magnackie

były i w Koronie ciężkie dla
średniej szlachty oraz szaraków.
Ale konkurowały ze sobą.
Konkurencja satrapów to już
lepiej niż jeden wyzywający się
we wszechwładzy tyran. Zresztą
takich Leszczyńskich, nie sposób
nazywać satrapami (jeśli nawet
uznamy, że Hanna Malewska zbyt
jest dla nich łaskawa).
Dziedzice daleko na zachód
wysuniętych włości naprawdę
nasiąkli kulturą, i to od
pokoleń. Z sympatią Karola XII
dla Stanisława Leszczyńskiego
było podobno tak, jak z
przyciąganiem się różnoimiennych
ładunków elektrycznych. Prymityw
i wyrafinowanie przyłgnęły do
siebie. Wypędzony z Polski,
Stanisław zostawił po sobie
wcale niezłe wspomnienie w
Lotaryngii. Temat wymaga zajęcia
stanowiska w pewnej sprawie
natury zasadniczej. Przepraszam
czytelników za wynurzenia
osobiste, ale muszę wyznać, że
przemawiam teraz bez radości w
sercu. Czynię to raczej wbrew
własnym najgłębszym sentymentom.

Od dłuższego już czasu
przywykliśmy stosować
przysłowiową taryfę ulgową
względem wszystkiego, co w
naszej historii odnosi się do
Litwy. Zwyczaj ten panuje od
chwili ukazania się "Pana
Tadeusza" i samo istnienie tego
zwyczaju trzeba uznać za wielki

triumf poety. Mickiewicz
narzucił umysłom własną wizję
dziejów. Całkowicie odmienną od
obrazu, jaki miał przed oczyma
autor cytowanej już "Kroniczki
litewskiej". Raz jeszcze
powtórzę jego słowa, bo są
ważne: "Wszystka Polska mówiła
niemal, że dla kollizji
litewskiej ginie". Książki
pisane przez ludzi przeciętnych,
a chociażby nawet

utalentowanych, tym bardziej
suche dokumenty nie mogą
współzawodniczyć z geniuszem.
"Litwo, ojczyzno moja" - oto co
uksztaltowało poglądy na całą
przeszłość. Dalecy od
zrozumienia prawdy i głębi tych
słów, ulegliśmy tylko emocjom.
Obcy myśli, że po unii zaczęła
się w Wielkim Księstwie
Litewskim wytwarzać nowa,
wieloplemienna narodowość,
żyjąca z Polską w symbiozie,
lecz nie utożsamiająca się z nią
- nie doceniamy wartości i
piękna tego zjawiska
kulturalnego, za to fałszywie
dzielimy cienie i blaski. Za
dużo pobłażliwości dla Wilna, za
wiele potępień dla Warszawy. I
zupełne niemal zapomnienie dla
Poznania i Leszna.

W roku 1697 szlachta litewska,
świadomie działając wbrew
Sapiehom, zażądała "koekwacji
praw" z Koroną i postawiła na
swoim. Nakazano wtedy zarzucić
język białoruski, jako urzędowy,
pisać wszystkie litewskie
dokumenty po polsku. W pięć lat
później ta sama szlachta,
występując jako podmiot
polityczny, w imieniu
"Rzeczypospolitej Litewskiej"
zawiera układ z carem Piotrem.
Poważnie narusza postanowienia
unii, nie oglądając się na
Koronę ani na wspólnego króla.
Te fakty świadczą, jak mało
przydatne jest wszelkie
upraszczanie. (Polityczną ocenę
układu z roku 1702 można obecnie
pominąć; chodzi mi w tej chwili

tylko o stwierdzenie poczucia
pewnej odrębności, występującego
u obywateli Wielkiego Księstwa
mówiących po polsku już na co
dzień). Unia wytworzyła stan
rzeczy ogromnie skomplikowany i
bogaty w możliwości, zmarnowany
przez nieustanne wojny przede

wszystkim. Narodowość wieloplemienna, zrosła z zachodnim sąsiadem niczym z bratem syjamskim, z nim razem tworząca jedno wspólne, lecz wielonarodowe państwo. Mapa kultury europejskiej nie zubożałaby na pewno, gdyby ten twór dziejowy przetrwał i okrzepł. Zyskałaby raczej formację bardzo ciekawą i płodną.

Ziemiaństwo litewskie zażądało polszczyzny w urzędach, bo było kulturalnie spolonizowane. Ale używanie danego języka nie oznacza jeszcze identyfikowania się z krajem, od którego się mowę przejmuje. Nie pozbawia własnego oblicza. W Wielkim Księstwie Litewskim warstwy społecznie górujące posługiwały się polszczyzną, lud mówił po białorusku oraz po litewsku i oba te języki musiałyby z czasem wypłynąć na wierzch - do literatury, polityki, administracji - stanąć obok "panującego" i na równi z nim. Wieloplemienną i wielojęzyczną narodowość, a nawet państwowość, nowoczesne nacjonalizmy uznają za najgorszą z herezji, i to jest przyczyna, dla której tradycji Wielkiego Księstwa wiek XX przedłużyć nie umiał i nie chciał. Co mi w niczym nie przeszkadza uznawać te martwe już niestety tradycje za świetne. Dumny jestem, że należę do narodu, który uczestniczył w tak wczesnej próbie stworzenia wspólnego państwa dla wielu plemion.

Obiektywizm każe przyznać, że w Wielkim Księstwie, a nie w Koronie, magnateria najsilniej wybijała. Stwierdzając to, mówię

o czynniku dziejowym, który mocno się przyczynił do zaprzepaszczenia otworzonych przez mnie widoków, nie potępiam

jej samej ani żadnej z
narodowości składających się na
historyczne pojęcie Litwy.

Pewien wybitny uczony,
wyznający poglądy
nacjonalistyczne, napisał przed
wojną, że w XVIII stuleciu
anarchia ogarnęła wszystkie
ziemie zamieszkane przez "rasę
polską" (zwracam uwagę, że to ja
postawiłem cudzysłów, wspomniany
autor go nie użył). Jedyne
niemiecka Kurlandia, kraj w
stosunku do Rzeczypospolitej
lenniczny, oparła się zarazie.
Oryginalna rasa, w której skład
wchodziły wywodzący się spod
Łęczycy Zamoyscy, rdzennie
litewscy Radziwiłłowie, ruscy
Sapiehowie i Wiśniowieccy,
Czartoryscy herbu Pogoń
Litewska, Konięcpolscy znad
Pilicy, Potoccy z Krakowskiego.
Zdobytą przez Jana III pod
Wiedniem zieloną chorągiew
Proroka wręczał papieżowi
rezydent polski w Rzymie, biskup
Jan Kazimierz Denhoff (wziął
imiona po królu, który był jego
ojcem chrzestnym; poprzednio ród
Denhoffów składał się z samych
Gerardów, Magnusów, a zwłaszcza
z Ernestów). Jego awans na
kardynała szlachta przywitała
kwaśno, ponieważ uważano w kraju
powszechnie, że Polacy nie
powinni brać tej cudzoziemskiej
godności. U kolebki polskiej
anarchii stała rodzina
Mniszchów, niedawno przybyła z
Wielkich Kuńczyc na Morawach. W
początkach XVI wieku zwiczył
Litwę książę Michał Gliński,
Tatar z rodu samego chana
Mamaja. Rzecznikiem ładu był
wtedy prymas Jan Łaski, rodowity
już nie tylko Polak, lecz
Wielkopolanin.

Anarchia ogarnęła nie żadną
rasę wcale. Ofiarą jej padła
cała wielonarodowa monarchia.

Stwierdzenie bardzo ważne! Fakty dowodzą, że poszukiwanie źródeł tej anarchii w cechach charakteru narodowego to po prostu absurd. Trzeba w dziejach państwa szukać momentu, który je wykoleił. Musiało zajść coś, co zmarnowało moralną oraz polityczną dyscyplinę, tak wyraźną w Polsce w stuleciach XIV, XV i XVI.

W "Potopie" Henryk Sienkiewicz kazał Bogusławowi Radziwiłłowi wygłosić słowa, które wryły się w pamięć ogółu: "Rzeczpospolita to postaw czerwonego sukna, za które ciągną Szwedzi, Chmielnicki, Hiperborejczycy, Tatarzy, elektor i kto żywnaokoło. A my z księciem wojewodą wileńskim powiedzieliśmy sobie, że z tego sukna musi się i nam tyle zostać w rękę, aby na płaszcz wystarczyło".

Zaraz potem książę koniuszy zaczął tłumaczyć rozmówcy, dlaczego tak się dzieje:
- "Słuchaj, panie Kmicic! Gdybyśmy, Radziwiłłowie, żyli w Hiszpanii, we Francji albo w Szwecji, gdzie syn po ojcu następuje i gdzie prawo królewskie z Boga samego wypływa, tedy... służylibyśmy pewnie królowi i ojczyźnie, kontentując się jeno najwyższymi urzędami, które się nam z rodu i fortuny przynależą".

Henryk Sienkiewicz, artysta genialny, pod pewnym względem był całkiem przeciętnym Polakiem. O wiele lepiej znał dzieje własnego kraju niż innych i wskutek tego chorował na manię przypisywania samej tylko Polsce tego, co występowało wszędzie. Przytoczę teraz fragmenty pierwszego tomu "Dziejów Francji" Andrzeja Maurois. Mowa o czasach, które u nas stanowiły schyłkową dobę panowania Zygmunta Augusta, odznaczały się pokojem wewnętrznym i

tolerancją. We Francji Katarzyna Medycejska, królowa wdowa, usiłowała pojednać poddanych:

"Masy katolickie i protestanckie uważały wszelką tolerancję za grzech. W Paryżu tłum katolicki podpalał domy innowierców. Na południu furia hugonotów rzucała ich na kościoły. Zrozpaczona szlachta katolicka myślała o pozbyciu się Katarzyny. Ta ostatnia, przestraszona, zapytała admirała Coligny, jakimi siłami mogą rozporządzać hugonoci dla obrony monarchii. To był sygnał do wojny domowej. W istocie obie partie jej pragnęły; jedni widzieli w niej okazję do nasycenia zemsty, inni do rabunku".

W marcu 1562 roku książę de Guise wymordował w Vassy dwudziestu trzech hugonotów, stu trzydziestu poranił.

"Kondeusz wezwał hugonotów pod broń. Gwizjusz pomaszerował na Paryż, który go przyjął okrzykami: Vive Guise!, ponieważ nie wołało się już: Vive le roi!... Nastąpił okres dzikiego zamętu. Wojna ścierała wojnę. Królestwo tonęło we krwi i ogniu. Zabrakło chleba. "Każdy miał swą bandę". Hugonoci zostali wyjęci spod prawa w Paryżu, katolicy w Normandii. Na południu pustoszone katedry i klasztory. Wszędzie dzieliły się nawet rodziny. Fanatyzm usprawiedliwiał zbrodnie; bandytyzm wspierał się wiarą. Każdy chciał słuchać tylko swego sumienia, to znaczy fantazji. "W ten sposób lud przyzwyczajał się do nieposzanowania urzędu". Skoro partia zastąpiła państwo, a zemsta prawo, cywilizacja konała".

23 grudnia 1588 roku nastąpiła "tragedia w Blois". Henryk III - poprzednio nasz Henryk Walezy -

kazał zgładzić księcia de Guise,
wodza partii katolickiej. Przy

zabitym znaleziono list do
Filipa II hiszpańskiego.
Podtrzymywanie wojny domowej we
Francji - pisał Gwizjusz -
będzie kosztowało Madryt
siedemset tysięcy liwrów
miesięcznie.

Kaznodzieje zaczęli wołać z
ambon o mściciela zbrodni (to
znaczy o zgładzenie zdrajcy, a
nie zdrady). Dominikanin Jakub
Clement poradził się najpierw u
teologów, czy królobójstwo w
obronie wiary nie narazi
zbawienia jego duszy, i
upewniony co do losu
pośmiertnego 1 sierpnia 1589
roku zabił króla nożem. Księżna
de Montpensier natychmiast
zasypała Paryż zielonymi
szarfami.

Henryk IV uspokoił Francję. 14
maja 1610 roku zginął od
sztyletu Ravaillaca. Jechał
powozem ulicą de la Feronnerie,
zatopiony w lekturze listu.
Zamachowiec wskoczył na stopień.
Ostrze przebiło aortę.
Aczkolwiek Ravaillac uchodzi za
pomyleńca działającego na własną
rękę - powiada Maurois - to
jednak dowiedziono, że w tym
samym czasie szykowały się inne
spiski na życie uwielbianego
przez lud Henryka. Król
stanowczo odmawiał bowiem
opowiedzenia się za którąkolwiek
ze sfanatyzowanych koterii.

Następca tronu Ludwik XIII,
najlepszy bez wątpienia
rzemieślnik wśród monarchów, był
na razie małoletni. Regencja
przypadała jego matce Marii
Medycejskiej. Lecz
pomiędzy literą prawa a
możliwością jego wykonania i we
Francji stał pewien czynnik.
Byli nim tamtejsi amatorzy
czerwonego sukna.

Opowiadając o tych sprawach
zapożyczam się u Gerarda
Waltera, autora wstępu do
książki Jerzego Mongrédien "La
Journéee des Dupes". Jest ona
czternastym tomem cyklu

noszącego ogólny tytuł "Trente
journées qui ont fait la
France". (Trzydzieści dni, które
stworzyły Francję!) Trzydzieści
dobrze - to znaczy po literacku
- napisanych studiów
historycznych, z których każde
ma konkretną datę za oś
kompozycyjną. Pierwsze nazywa
się "Chrzest Klodwiga. 25
grudnia 496", a ostatnie -
"Oswobodzenie Paryża. 25
sierpnia 1944". Należy
zazdrościć i wieszować
narodowi, którego uczeni w ten
sposób przedstawiają wiedzę o
przeszłości.

Okazuje się, że dzieje Francji
szczególnie upodobały sobie
lipiec. Wymienia się go aż w
ośmiu tytułach. Za to w kwietniu
nic ważnego nie zaszło podczas
najświeższych lat tysiąca
pięciuset. Wszystkie inne
miesiące figurują w wykazie.
"Gdy przeglądamy spis dni, które
stworzyły Francję - mówi Gerard
Walter - uderza wprost, jak
doniosłe miejsce zajmują tam
bunty, morderstwa - zarówno
pojedynczych osób jak masowe -
bitwy, pożary oraz inne klęski
publiczne. Aż tak dalece jest
prawdą, że los narodu, podobnie
jak jednostki, wykuwa się wśród
twardych prób, które obarczają i
jeden, i drugi, każdy na jego
miarę".

Zgonowi Henryka IV poświęcono
oczywiście osobny tom,
mianowicie trzynasty, napisany
przez Rolanda Mousnier,
profesora Sorbony. Ponieważ
następna książka odnosi się do
daty późniejszej o lat

dwadzieścia, wspomniany już
wstęp do niej zawiera zwięzłą
opowieść o tym, co one widziały.

Przed wszystkim orgię
przekupstwa. Hrabia de Soissons
oburzał się głośno, że
proklamowano regencję podczas
jego nieobecności w stolicy.
Opozycji zaniechał, kiedy mu
dano pięćdziesiąt tysięcy ~ecus

pensji rocznej, doraźnie
dwieście tysięcy na spłatę
długów, gubernatorstwo Normandii
oraz inne lukratywne godności.
Dwudziestodwuletni, opływający w
honory i dostatki księżę Cond~e
nie mógł poprzestać na tak nikłych
sumach. Wyznaczono mu dwieście
tysięcy ~ecus rocznie, dano
jednorazowo tyleż na zakup
pewnego pałacu na przedmieściu
Saint_Germain, dołożono hrabstwo
Clermont. Siedem wielkich rodów
francuskich - Cond~e, ~epernon,
Mayenne, Guise, Vend~ome,
Bouillon, Bellegarde - wzięło
wtedy ze skarbu państwa dziewięć
milionów liwrów. Po Henryku IV
zostały wielkie rezerwy złota.
Część przechowywana w Bastylji
wynosić miała siedem milionów. W
trzy lata później nie było tam
już ani grosza.

Tak Maria Medycejska kupiła
sobie zgodę wiernych poddanych
na regencję, która trwała i
zresztą musiała trwać krótko. W
roku 1614 Ludwik XIII dojrzał i
władza królewska, co "z Boga
samego wypływa", teoretycznie
winna była przejść w jego
trzynastoletnie dłonie.
Hrabiowie i księżęta natychmiast
uszli ze dworu. Spotkali się w
M~ezi~eres, ogłosili manifest
piętnujący rozrzutność oraz
przekupstwo i zażądali zwołania
Stanów Generalnych. Specjalni
wysłannicy monarchy musieli się
z nimi układać. Cond~e wziął
czteryście pięćdziesiąt tysięcy

liwrów bręcząca gotówka,
Mayenne trzysta, Longueville
sto... Przedstawicielom Stanów
Generalnych wyjaśniono, że
pustki w skarbie spowodowała
lawina wypadków i wydatków
nadzwyczajnych. Więc pogrzeb
Henryka IV, koronacja królowej
Marii, a potem Ludwika XIII,
uroczysty wjazd regentki do
Paryża, no i wojna.

Sukno czerwone. Może raczej
jedwab szkarłatny, bo jesteśmy
we Francji. Też materiał, tyle

że mocniejszy. Trzeba ciąć i
kroić, szarpać nie wystarczy.

Gdy się to działo we Francji,
Bogusława Radziwiłła wcale
jeszcze na świecie nie było.
Polsce i Litwie panował wtedy
Zygmunt III, "w każdym calu
król", i w dwoistym państwie nie
działo się najgorzej. Za czasów
jego syna Władysława IV w
odległej Francji zbuntował się
Ludwik de Bourbon hrabia de
Soissons, bliski krewny Ludwika
XIII. Uszedł z Paryża do Sedanu.
O tym, jak sobie dalej poczynął,
opowiadają "Pamiętniki"
kardynała Retza, niedawno
spolszczone przez Marię i
Aleksandra Bocheńskich. Trzeba
przytoczyć niektóre urywki:

"Ponieważ wzburzenie umysłów
obejmowało coraz szersze kręgi -
pisze de Retz - hrabia polecił
mi przybyć potajemnie do Sedanu.
Rozmawiałem z nim w nocy w
pałacu... Pan de Bouillon, który
za wszelką cenę dążył do wojny
domowej, skorzystał z tej
sposobności, aby wyolbrzymić
spodziewane korzyści i dogodność
położenia. Saint_Ibal popierał
go mocno; Varicarville zaś
namiętnie zwalczał ich obu...
Pozostałem w Sedanie jeszcze dwa
dni, podczas których hrabia
zmienił pięć razy zdanie... Pan
de Bouillon skłonił go w końcu

do podjęcia decyzji. Wezwano don Miguela z Salamanki, posła hiszpańskiego. Mnie polecono działać dla pozyskania zwolenników w Paryżu. Powracałem z Sedanu objuczony większą ilością listów, niżby było trzeba, żeby wytoczyć proces o zdradę stanu dwustu osobnikom... Moi dwaj korespondenci z Sedanu, mianowicie Varicarville i Beauregard, donosili mi od czasu do czasu, że hrabia żywi w dalszym ciągu jak najlepsze intencje i nie podlega już wahaniom od chwili, gdy zdecydował się wystąpić. Pamiętam pewien list, w którym

Varicarville pisał, że obaj krzywdziliśmy go niegdyś, zarzucając mu słabość. Teraz jest wprost przeciwnie, i to do tego stopnia, że trzeba go hamować, gdyż nazbyt ulega wpływom cesarstwa i Hiszpanii. Proszę łaskawie zwrócić uwagę na to, że oba te dwory, które czyniły niesłychane zabiegi, póki się wahał, stały się teraz bardziej powściągliwe, kiedy już pewne były jego wystąpienia".

Trony cesarski i hiszpański zajmowali przedstawiciele rodu Habsburgów. Walka przeciwko "Domowi Austrii" była wtedy stałą i słuszną wytyczną polityki francuskiej.

Bunt hrabiego de Soissons nastąpił w roku 1641. Pamiętajmy o tym, jeżeli chcemy należycie ocenić (nie usprawiedliwić, ale ocenić, podkreślam z całym naciskiem, na jaki mnie stać) takie rzeczy, jak postępowanie Hieronima Radziejowskiego i polskich magnatów w roku 1655.

Kondeusz Wielki, narodowy bohater francuski, nad którego grobem przemawiał Bossuet, od czasów Frondy aż do pokoju pirenejskiego walczył przeciwko

Francji po stronie króla
Hiszpanii. Zdradzał Francję
dokładnie w tym samym czasie,
kiedy Bogusław Radziwiłł
zdradzał Jana Kazimierza.
Kondeuszowi skonfiskowano dobra,
lecz nikt ze szlachty ani
arystokracji francuskiej nie
wyciągnął po nie ręki. Ogół
tamtejszych urodzonych
opowiedział się w tej sprawie za
przeniewiercą, a przeciwko
prawomocnemu wyrokowi monarchy.

Zestawienia i porównania,
których tu ciągle dokonuję, mogą
uchodzić za naciągane. Gdzie
Rzym, gdzie Krym? Co ma
wspólnego postępowanie szlachty
dwóch narodów tak różnych i
odległych, jak Francja i Polska?
Posłużę się teraz naukowymi
zdobyczami Władysława

Czaplińskiego. Czynię to tym
chętniej, że pragnę podkreślić
ich znaczenie. Kto nie czytał
dzieł tego historyka, ten mało
wie o naszym stuleciu XVII.

Hieronima Radziejowskiego sejm
polski skazał na banicję, lecz
wcale nie wszyscy godzili się
przyjmować odjęte mu
królewskorzeczy. Inaczej postąpił
tylko Jan Leszczyński, wojewoda
łęczycki. Zdrajca wyrzucał mu to
później. "Przypomnę panu - pisał
- że żaden kawaler we Francji
nie uczyniłby tego, i po
Kondeuszu, lubo różnym dawano
jego dobra, żaden ich wziąć nie
chciał". W grudniu 1655 roku ten
sam Jan Leszczyński pocieszał
się, że Polska, której
magnateria wraz z większością
szlachty odstąpiła króla, nie
stanowi wyjątku w Europie.
Przypominał, że podczas
minionych czterech lat takie
rzeczy zdarzały się we Francji,
"gdzie duc de Turenne przeciw
królowi swojemu wojował.
Chodzono koło tego, aby go

pozyskać, nie żeby konfiskować
dobra, i teraz on pierwszym
hetmanem, to robiono i z
Kondeuszem".

Nasi wielmożni doskonale znali
europejskie wzorce, umieli
powoływać się na nie lada
precedensy. W polskiej
publicystyce wcześniejszych
nawet czasów łatwo znaleźć
wyrazy uznania dla Francji, jako
dla kraju pod każdym względem (z
wyjątkiem obszaru) górującego
nad Rzeczpospolitą. Zwłaszcza
starożytność dynastii oraz jej
uprawnienia budziły respekt...

Czytamy o suknie czerwonym i
książę Bogusław wydaje się nam
okropnym wyrodkiem. Nieprawda!
Żaden wyrodek. Zwykły magnat
europejski XVII stulecia.
Radziwiłł nie był gorszy od
rówieśnych sobie arystokratów
francuskich, niemieckich czy
innych. A jeżeli pamiętać o jego
kulturze, można śmiało

twierdzić, że był lepszy.

Ludwik XIII musiał jednak
formalnie przynajmniej dotrzymać
przysiężenia, danego
rebeliantom z M^ezi^eres. 23
lutego 1615 roku zebrały się w
Paryżu Stany Generalne.
Przedstawiciele narodu długo
czekali u drzwi, aż dwa tysiące
dworaków zajmie najlepsze
miejsca w wielkiej sali
Palais Bourbon. Powstał taki
hałas - zapewnia naoczny świadek
- że nie słychać było
przemawiających.

Pierwszy zbliżył się do tronu
biskup Lucon, występujący w
imieniu duchowieństwa. Był nim
Armand Du Plessis de Richelieu,
daleki jeszcze od swej
późniejszej potęgi. Wykonał
zgrabny rewerans, symbolizujący
przyklęknięcie, i wygłosił mowę na
poziomie. Zaraz po nim wystąpiło
okrągłe zero - przedstawiciel

szlachty, baron de Senecey.
Rozgrzeszający gest królewski
zawczasu zwolnił go nawet od
poзору hołdu. Za to przywódca
stanu trzeciego, burmistrz
Paryża Robert Miron, musiał
ugiąć oba kolana, i to na trzy
godziny. Zapadł zmierzch,
zapalono świece, tłum dworzan
nudził się, gawędził lub ziewał,
a stary człowiek klęczał bez
przerwy. Czytał głośno skargi
mieszczanstwa i ludu. Nazajutrz
delegaci stanu trzeciego
spotkali się pod zamkniętymi
drzwiami klasztoru, w którym
dotychczas odbywali narady. Król
zabronił im wszelkich
zgromadzeń. Nieposłusznym
groziła kara, jak za obrazę
majestatu.

Taki był przebieg ostatnich
Stanów Generalnych przed Wielką
Rewolucją. Żale, odczytane przez
Robert Miron, były uderzająco
podobne do tych, z którymi w sto
siedemdziesiąt cztery lata
później stan trzeci przyjechał
do Paryża, nie przeczuwając na
razie, że przyjdzie mu zdobyć

Bastylię i zburzyć stary
porządek.

Ustrój społeczny Francji
jakościowo się od polskiego nie
różnił. I tu, i tam
duchowieństwo oraz szlachta
górowały bezwzględnie. Francuski
system podatkowy był wręcz
okropny, nie tylko
niesprawiedliwy, ale w
najwyższym stopniu niemoralny.
Nawet wśród plebejuszy jedni nic
nie płacili, bo kupili
przywilej, innych podatki wprost
właczały w ziemię. Jedne
prowincje miały warunki znośne,
inne wносиły opłaty zwyczajne,
nadzwyczajne i
supernadzwyczajne. Opodatkowaniu
podlegały tylko grunta mieszczan
i chłopów, szlacheckie były

wolne, nawet jeśli zakupił je prostak. I odwrotnie zresztą - z nabytej przez pana roli chłopskiej trzeba było płacić.

Bohdan Baranowski pisze w świeżo wydany tomie szkiców obyczajowych z XVII i XVIII wieku: "W wojsku polskim omawianego okresu karność pojmowano w dość szczególny sposób. Władze wojskowe patrzyły przez palce na wszelkiego rodzaju bezprawia dokonywane na ludności cywilnej". Gerard Walter tak mówi o dowódcach regularnych wojsk francuskich: "Nie śmieli zrażać sobie podwładnych. Istniało coś w rodzaju cichego układu. Żołnierze godzili się słuchać oficerów podczas boju, lecz pod warunkiem swobodnej ręki przedtem i potem... Wystarczyło pogłoski o przemarszu pułku królewskiego i miasta wznosiły barykady, a milicje grodzkie stawały pod broń. Najczęściej tylko brzęczący argument mógł skłonić żołnierzy, by przeszli mimo, nie wchodząc w bramy. Tak się działo nawet wtedy, kiedy ster państwa ujęła żelazna dłoń kardynała Richelieu. Wielki polityk niezbyt się przejmował

niedolą obywateli.

Poszczególne prowincje francuskie płaciły podatki na wojsko w nich zakwaterowane. Pieniądze te szły jednak do Paryża, który z reguły przeznaczał je i zużywał na inne cele. Więc ostatecznie regimenty królewskie musiały utrzymywać się w wyżej wskazany, jak najdalszy od praworządności sposób.

Wydaje się, że przyczyn polskiej anarchii i katastrofy nie można znaleźć w samej tylko dziedzinie ustroju społecznego. Bo ustrój ten - wolno powtórzyć

- jakościowo się nie różnił od europejskiej normy. Również słaba spójność wewnętrzna nie zdołała wszystkiego wytłumaczyć. Dzisiaj mówi się, że Polska była właściwie nie państwem, lecz zrzeszeniem sąsiedztw. Przed wojną głosiło się tezę również słuszną i zbliżoną, iż Rzeczpospolita Obojga Narodów była w rzeczywistości republiką suwerennych folwarków (a ściślej - suwerennych domen magnackich). Posłuchajmy: "Królestwo, które się składa z krajów koronnych, krajów elekcyjnych, krajów administracji prowincjonalnej, z krajów administracji mieszanej, królestwo, gdzie prowincje są obce jedna drugiej, gdzie liczne bariery wewnętrzne oddzielają i rozdzielają poddanych jednego monarchy, gdzie pewne regiony wolne są od ciężarów, które dźwigają inne, gdzie klasa najbogatsza najmniej płaci podatków, gdzie przywileje niszczą wszelką równowagę, gdzie niepodobna mieć ani stałej zasady postępowania, ani wspólnej opinii, królestwo takie jest niedoskonałe, nader przepełnione nadużyciami i takie w ogóle, że nie sposób nim dobrze rządzić".

Był to urywek memoriału, złożonego Ludwikowi XVI przez

ministra Calonne w sierpniu 1786 roku. U nas zanosilo się wtedy na Sejm Wielki i bezkrwawą reformę, która we Francji okazała się niemożliwa, bo uprzywilejowani zbyt silny stawiali opór.

Czerpałem przykłady z dziejów Francji, czyli kraju, który w XVII stuleciu przeżył swój naprawdę Wielki Wiek i przodował Europie. Chodziło mi o jaskrawe, jak najbardziej

jaskrawe argumenty na rzecz tezy, że elementy anarchizujące istniały wszędzie. Wobec takiego stanu rzeczy doszukiwanie się źródeł czyjejkolwiek anarchii lub karności w cechach charakteru narodowego to absurd krwi najczystszej.

Interesujące nas pytania dadzą się sprowadzić do postaci prostej. Dlaczego dzieje Polski rozmięły się z historią Europy? Czemu powszechne na kontynencie czynniki anarchii w określonym czasie tak się u nas rozrosły i spęczniały? Gdzie się zaprzepaściły hamulce?

Teoria faktów dokonanych

U nas też by można napisać cykl książek o przełomowych chwilach w życiu państwa i narodu. Tylko tytuł należałoby nieco zmienić. Na przykład: "Dni, które stworzyły i zgubiły Polskę". Ewentualnemu wydawcy zgłaszam własną kandydaturę autorską. Zastrzegam dla siebie tom o nazwie: "Zgon ostatniego Jagiellona. 7 lipca 1572". Utwór mój należałby oczywiście do żałobnej części cyklu. Opowiadałby o jednym spośród dni fatalnych.

7 lipca 1572 roku nie było bitwy, pożaru ani rzezi. Zabrakło patosu, zdarzyło się sporo niesławy. Nie popełniono żadnej zbrodni, dopuszczono się tylko wielu obrzydliwych kradzieży. Nie było nawet

niespodzianki. Zszedł ze świata schorowany człowiek, którego śmierci spodziewano się od dawna, a powitano ją z uczuciem ulgi moralnej. "Dobrze, że się to kurewstwo skończyło" - pisał wtedy szlachcic do szlachcica. Publicznie wyrażano się grzeczniej, lecz w tym samym

duchu.

Pomimo tak żalosnych okoliczności zgonu króla, ogół otaczał szacunkiem jego siostrę, Annę Jagiellonkę. Widziano w niej spadkobierczynię dynastii, która przez dwieście lat rządziła państwem. Później szlachta powołała na tron Zygmunta III, Jagiellona po kądzieli. Podczas dwóch następnych elekcji obierała jego synów. Złe nastroje roku 1572 nie zamąciły w głowach i rychło poszły w niepamięć. Kraj wyraźnie pragnął stałości.

Zgon Zygmunta Augusta nie spowodował natychmiastowej katastrofy. Skądże! Wkrótce obszar państwa znowu się zbliżył do fantastycznej liczby miliona kilometrów kwadratowych. Dawniejsze tryumfy wojenne Tarnowskiego, Ostrońskiego, Kamienieckiego stanowiły dopiero zapowiedź czynów, którymi mieli zabłysnąć Stefan I, Chodkiewicz, Żółkiewski, Koniecpolski, Jan Kazimierz oraz Jan III, że się już przemilczy takich, jak Chmielecki i Czarniecki. Na przełomie XVI i XVII wieku dukat polski był najsilniejszą jednostką monetarną Europy, a pod względem artystycznego wykonania stanowił skończone arcydzieło. Istniały w państwie trzy akademie (czwarta, we Lwowie, powstała już w dobie klęsk, co też znamienne). Każda wieś parafialna w Koronie miała szkółkę. Pewien introligator, zamieszkały na głuchej prowincji wielkopolskiej, dorobił się dostatku. Wpływ kultury polskiej sięgnął tak daleko na wschód,

jak nigdy przedtem. Biskupi prawosławni na Ukrainie, pragnąc skutecznie bronić swej wiary, a zwalczać unię kościelną, sięgali po polszczyznę. POsługiwali się

mowa Lachów. Rozsadnikiem tej kultury była buntująca się przeciwko tymże Lachom starszyzna kozacka. Miała zresztą niejako poprzednika w osobie Radziwiłła Sierotki, który zbierał podpisy litewskie na dokumencie żądającym skasowania postanowień Unii Lubelskiej i napisał po polsku świetną książkę o swej podróży do Ziemi Świętej.

Długo jeszcze po zgonie ostatniego Jagiellona dwoiste, polsko_litewskie państwo nasze wykonywało niektóre zadania wojenne z energią czasami wręcz nieprawdopodobną. Organizm jego obfitował w siły. Ale organ centralny zachorował na paraliż. Utracił możliwość skutecznego panowania i narzucania swej woli. Przestał być hamulcem. Nie mógł już pilnować jakiej takiej chociażby równowagi wewnątrz społeczności.

Tym organem była oczywiście władza państwowa, sam jej główny ośrodek - tron królewski. 7 lipca 1572 roku narodziły się okoliczności, które musiały przywabić wirusy paraliżu. Istnieje zresztą teoria przyrodnicza, głosząca, że w pewnych warunkach żywy organizm sam wytwarza zarazki. Nie warto wdawać się w spory o jej słuszność. Teza, mylna być może dla przyrody, znakomicie pasuje do historii. Dynastia Jagiellonów wygasła wśród takich realnych okoliczności, że nic nie mogło ocalić ośrodka władzy państwowej przed kryzysem. Zmarł król, pomazaniec, jedyny dziedzic i dzierżyciel wielu uprawnień kierowniczych, niezbywalnych i niezbędnych. Zmarł, zostawiając po sobie polityczną próżnię. Nie wskazał

następcy, chwilowego zastępcy

ani sposobu ich powołania.
Puścił to wszystko na los.
Sprawy niesłychanie subtelne i
trudne, takie, nad których
harmonijnym zrównoważeniem
pokolenia i wieki pracują,
zostawił do jednorazowego i
szybkiego załatwienia. Tego
rodzaju spadek przekazał komu?
Społeczności szlacheckiej,
pozbawionej jakiegokolwiek wiedzy
o precedensach, bo nikt na
świecie zagadnień podobnych
przedtem od ręki nie
rozstrzygał. Społeczności ludzi
herbowych wewnętrznie skłóconej,
i to w ten sposób, że elementy
mające słuszny program, zwarte
zresztą i kulturalne, były
podczas bezkrólewia stroną
politycznie słabszą. Duchowna i
świecka magnateria górowała nad
nimi siłą faktu, to znaczy
majętności, wpływów, potęgi, a
jeżeli chodzi o biskupów -
organizacji. Przywódcami
żądającej reform szlachty fortun
średnich i małych byli posłowie
sejmowi. Ależ Wincenty
Zakrzewski już niemal sto lat
temu wyłożył nam przecie, że
skoro król umarł, więc i sejm
zabrakło! Sejm to król, senat
oraz izba poselska razem wzięci.
Nie ma monarchy, a to on właśnie
zwoływał sesje. Bez jego zgody
żadna uchwała nie mogła stać się
prawem. Nie ma monarchy -
powstaje więc wątpliwość, czy
zjazdy konwokacyjny i elekcyjny
są właściwie sejmami i czy mogą
coś uchwalać. Próżnia, same
znaki zapytania. Żadnych
drogowskazów.

W Złotym Wieku Zygmunatów
palącymi problemami polityki
wewnętrznej były: egzekucja
dóbr, czyli odjęcie magnatom
włości skarbowych, bezprawnie
przez nich zagarniętych, oraz
dopełnienie unii z Litwą.
Zarówno o jedno, jak o drugie
sejm koronny wołał przez
dziesięciolecia. I jedno, i

drugie oblokło się w ciało w przeciągu lat sześciu, gdy król nareszcie przeszedł na stronę posłów. Zygmunt August rozpoczął wojnę o Inflanty, nie pytając o zdanie ani Senatu, ani izby i nie łamiąc przez to prawa. Prerogatywy monarchy polskiego pozwalały na to, były jeszcze rozległe i całkiem rzeczywiste. W połowie XVI wieku państwo dojrzało właściwie do zmiany wyznania panującego, do przyjęcia jakiejś odmiany reformacji. Sejm uchwalił postulaty, których wprowadzenie w czyn równałoby się ustanowieniu czegoś w rodzaju kościoła narodowego. Biskupi myśleli więcej o zachowaniu swych przywilejów niż o wierności wobec Rzymu. Zabrakło jednej tylko rzeczy - decyzji króla. Zygmunt August nie zamierzał porzucać katolicyzmu i jego wola rozstrzygnęła.

Trzeba było o tym powiedzieć dla zwykłego przypomnienia, czym był w Polsce Złotego Wieku jej król i jaką to władzę ostatni z Jagiellonów pozostawił wprost na ulicy. Na polu elekcyjnym, o którym nikt jeszcze nie wiedział, gdzie się ma znajdować, kogo słuchać, jakim porządkiem się rządzić. Sejmy, a właściwie izby poselskie, zaczęły opracowywać rozumne projekty elekcji już wtedy, kiedy Zygmunt August miał trzydzieści osiem lat zaledwie, na czternaście zim przed jego zgonem. Głosu ich nie wysłuchano. One same bez senatu i króla niczego postanowić nie mogły.

Ogromnie lubimy upraszczać. Rozprawiając o historii stale posługujemy się skrótami, które z czasem nabierają cech abstrakcji. Powiadamy na przykład, że w roku 1572 Polska musiała obmyślić system obierania władców. Termin

"Polska" jest w danym wypadku

nawet nie abstrakcją, lecz fikcją. Nie pomoże zastąpienie go rzeczownikami "szlachta" lub "feudałowie".

Rzeczpospolita ówczesna to dwa główne podmioty polityczne i jeden pośledniejszy. Korona, Wielkie Księstwo Litewskie i Prusy Królewskie. Szlachta koronna rada by przemawiać w imieniu ogółu "Polaków", ale Litwa i stany pruskie natychmiast przeciwko temu protestują. Pierwsi krytykują zapadłą w Koronie uchwałę, w której - jak głoszą oficjalnie - "zaniechan i zaniedban jest naród nasz i wszystko Wielkie Księstwo Litewskie". Drudzy stanowczo upominają się o autonomiczne przywileje "rady ziem pruskich". Spór dotyczył nie tylko form wypowiedzi. Również co do istoty rzeczy każda z prowincji zachowywała się inaczej. Jedna tylko Korona żądała szybkiego załatwienia sprawy, bo nie mogła się obejść bez monarchy. Jej skomplikowanemu, rozwiniętemu ustrojowi koniecznie potrzebny był zwornik. Na Litwie i w Prusach magnaci zapanowali wszechwładnie. W Wielkim Księstwie wytworzył się nawet rząd de facto. Składał się, zapewnia współczesny tym wypadkom Świętosław Orzelski, z dwóch Radziwiłłów i jednego Chodkiewicza. Litewscy, podobnie jak i pruscy wielmoże wprost sterroryzowali szlachtę. Koronni musieli położyć uszy po sobie. Bronią ich stała się najbardziej wyuzdana demagogia.

Najprostsze działania arytmetyczne ogromnie pomagają rozumieć historię. Szczególnie pożyteczne są dwa: dodawanie i odejmowanie. Kryzys ustrojowy

rozpoczął się w lipcu 1572 roku. Unia Lubelska, która nadała Rzeczypospolitej jej formę państwową, liczyła sobie wówczas trzy lata. Zawarta wszak została

w roku 1569, także w lipcu (ciągle ten lipiec!). Nie potraciła jeszcze zębów mlecznych. Jakże łatwo jest ferować wyroki, patrząc z perspektywy wieków. Znacznie trudniej zrozumieć położenie ludzi, którzy nie zdążyli jeszcze oswoić się z jedną ogromną przemianą, dopasować do niej, gdy już wlaźła im na kark druga. Historia rzucała ówczesnemu pokoleniu wyzwania arcyzuchwałe. Spiętrzała przeszkody, właściwie nie nadające się do pokonania.

Oto próbka, raczej zapowiedź kształtujących się dopiero trudności. W Rzeczypospolitej obowiązywała wtedy tolerancja religijna obejmująca wszystkie wyznania. 10 października 1574 roku (po ucieczce Henryka Walezego, a więc nadal w dobie kryzysu rozpoczętego śmiercią Zygmunta Augusta) żacy krakowscy i pospólstwo zburzyli zbór protestancki w Krakowie, zamordowali dwie osoby, zrabowali kosztowności. Był to pierwszy tego rodzaju wypadek w Polsce. Władze sądowe i administracja zareagowały nadzwyczaj surowo. Śledztwo stosowało tortury, wydano i wykonano aż pięć wyroków śmierci. Kraj bronił swych praw... sposobami właściwymi epoce. 5 grudnia tegoż roku kardynał Stanisław Hozjusz, rzeczywisty przywódca episkopatu polskiego, zaczął rozsyłać z Rzymu listy do bawiącego w Paryżu Henryka, do dostojników koronnych i gdzie indziej także. "Czego nie śmiał ani król, ani

biskup - pisał - to zrobić
ośmielili się studenci akademii
krakowskiej, godni wiekuistej
pamięci, których chwałę cały
Kościół słać będzie".
Protestował przeciwko wszelkiemu
ich karaniu, domagał się nagrody.
Obóz reform pragnął naprawić
państwo. Tymczasem już rozkręcał

się atak na poprzednie zdobycze.
Zygmunta Augusta z trudem
przymuszono do zgody na
częściową egzekucję dóbr. A oto
teraz, podczas swego krótkiego
pobytu w Polsce, Henryk Walezy
zdażył rozdać magnatom mnóstwo
majątków państwowych. W takich
okolicznościach szlachta zdołała
naprawić sądownictwo. Jej
ówczesny zmysł państwowy należy
raczej podziwiać, niż potępiać.
Przecież Stefan Batory był
wybrańcem tłumu szlacheckiego.
Obwołał go królem nie prymas
wcale, lecz Mikołaj Sienicki,
protestant, z czasem arianin,
stary przywódca sejmów walnych
koronnych doby Zygmunta Augusta.

Ale Batory zwyciężył dopiero w
drugiej elekcji. Podczas
pierwszej wraz z Janem III
szwedzkim zaliczał się do
kandydatów podrzędnych. Uwagę
ogółu zwracali wtedy trzej,
nawet czterej nie lada jacy
mężowie. Arcyksiążę Ernest
Habsburg, brat króla Francji
Henryk de Valois oraz Iwan IV
Groźny i syn jego Teodor.
Niemcowi sprzyjała przede
wszystkim magnateria. Zwartą
ławą szli za nim wielcy panowie
z Litwy. Szlachta polska nie
chciała go "aż do gardł
naszych". Sama myśl o jego
wyborze przerażała ziemian z
Rusi, którą właściwie tylko
Karpaty odgradzały od imperium
tureckiego (nie zapomnijmy
czasem, że Barbakan krakowski
zawdzięczamy trwodzi przed

wojskami padyszacha, które po nieudanej wyprawie Jana Olbrachta doszły do Sanoka). Habsburg na tronie polskim - to mogło oznaczać wojnę z sułtanem. Ernestowi pod żadnym pozorem nie wolno było pozostawiać tej swobody poczynić w polityce zagranicznej, jaką się cieszył Zygmunt August. Prócz tego wiadomo było, że w krajach rządzonych przez Habsburgów dobrze się wiedzie arystokracji,

źle zwykłej szlachcie. Że kraje te nieuchronnie degradują się, tracą indywidualność. Że władza niemieckiej dynastii otwiera szeroki szlak niemczyźnie.

Iwana lub Teodora życzyła sobie przede wszystkim szlachta ziem rdzennie polskich. Mniej Małopolska, bardziej Wielkopolska i Mazowsze. Kandydatura Groźnego była popularna i z biegiem czasu zyskiwała na sile. Zbliżenia dynastycznego z Moskwą z uporem żądał Jan Zamoyski. Po ucieczce Henryka Walezego i rycerstwo litewskie zaczęło coraz przychylniej spoglądać na wschód. Za to magnateria Wielkiego Księstwa służyć nie chciała o Iwanie. Za dobrze wiedziała, jakimi metodami car poskramia własnych wielmożów. Nie mogły jej zaskoczyć sensacyjne wieści, przywiezione przez posłów polskich, którzy w roku 1570 zawierali w Moskwie pokój. Podczas uroczystego zebrania kazał Iwan jednemu ze swych książąt stanąć na czworakach, "ogolić zad", i w tej pozycji oraz stanie garderoby obtańcować całe zgromadzenie. Książę musiał być pewnie rad, że skończyło się na poniewierce, a nie na palu lub rozpalonym ruszcie. Wiedziano o tym dobrze na Litwie. Toteż

wielmoże tamtejsi (którzy
jeszcze za życia Zygmunta
Augusta potajemnie ułożyli się z
nuncjuszem, że nie oglądając się
na Zabuże zaproszą na tron
Habsburga, co zresztą wcale by
Iwana nie oburzyło, bo Niemiec
byłby z zasady skłonny do
ustępstw terytorialnych na
wschodzie) z wściekłością i
trwogą patrzyli na znoszenie się
Kremla z koroniarzami. Kiedy
wysłannik carski jechał do
Polski, marszałek wielki
litewski radził wojewodzie
wileńskiemu struć gońca i
rozgłosić, że zapił się na

śmierć. Dyplomata ów gardził
bowiem kieliszkiem, lecz nie
kwartą.

Iwan Groźny - w imieniu
własnym i syna - wysunął warunki
nie nadające się nawet do
omawiania, nie tylko do
przyjęcia. To on osobiście
zmarnował wielkie widoki co
najmniej na długotrwały pokój.
Nie stać go było na szerszy
pogląd. Umiał tylko dyktować swą
wolę i łamać opory przemocą. To
nie wystarcza dla porozumienia z
takimi, co sami reprezentują
siłę moralną lub fizyczną.
Polska ówczesna miała i jedno, i
drugie. Iwan zyskał wkrótce
okazję przekonania się o tym.
Stało się to za króla Stefana I.

Można się głęboko zamyślić nad
zaufaniem, jakie szlachta
koronna żywiła wobec wartości
własnej kultury. Przecież jej
chodziło ni mniej, ni więcej jak
o powtórzenie próby, która się
już raz powiodła... z Jagiełłą.
Publicystyczny wierszyk, wraz z
mnóstwem innych pism ulotnych
obiegający wtedy kraj, wprost
głosił: "By był Fiodor jak
Jagiełło, dobrze by nam było..."
Ufano, że atmosfera wolności i
prawa odmieni nowych władców,

jak odmieniła ongi srogi ród
Olgierdowiczów.

Lecz trudno sobie wyobrazić,
że zaproszono by Iwana na Wawel,
nie stawiając mu żadnych
warunków, mówiąc uprzejmie:
prosimy bardzo, nie krępuj się
wcale - ścinaj, łup ze skóry.
Kandydatura Groźnego skłaniała
do tych samych wniosków, co
kandydatura Habsburga. Należało
zabezpieczyć istniejące prawa,
uchronić kraj przed samowolą
elekta. Publicystyka ówczesna
mówiła o tym bez osłonek.

Do identycznego wniosku wiodła
kandydatura Francuza. Zygmunt
August zmarł 7 lipca. 28
sierpnia nastąpiła w Paryżu Noc
św. Bartłomieja. Na tron Polski,
kraju zagwarantowanej ustawami

tolerancji wyznaniowej, wezwano
osobnika od ciemienia po pięty
wymazanego krwią francuskich
protestantów. "Si non iurabis,
non regnabis!" - nie
zaprzysiężesz, nie zapanujesz...
Dwa razy to Henryk usłyszał. 10
września 1573 roku u siebie w
Notre_Dame, kiedy ostro
nacisnęli na niego świeccy
posłowie polscy, szczególnie Jan
Zborowski, i 21 lutego 1574 roku
na Wawelu, gdy marszałek Jan
Firlej położył dłoń na koronie.
Oznaczało to, że nie da jej
prymasowi ruszyć, zanim kandydat
na króla nie poprzysięże
szanować wolność wszystkich
wyznań. Uchwalona rok wcześniej
konfederacja warszawska
postanawiała bowiem "dla różnej
wiary i odmiany w kościołach
krwi nie przelewać", nie karać
nikogo konfiskatą dóbr,
więzieniem, infamią, wygnaniem
"i zwierzchności żadnej ani
urzędowej do takowego progresu
żadnym sposobem nie pomagać".

Henryk został królem, a cała
jego sprawa dobrze poucza, co

moga w historii znaczyć tak
nieraz pogardzane "personalia".
Henryk tyleż wiedział o Polsce,
co Polska o nim. Poseł
francuski, biskup Walencji Jan
de Montluc, opowiadał szlachcie
podczas elekcji niestworzone
rzeczy, obiecywał złote góry,
przedstawił homoseksualistę za
wzór cnót, winowajcę rzezi
hugonotów za ostoję tolerancji.
Uwierzono mu i źle to świadczy o
ówczesnych Polakach. Tenże
Montluc w identyczny sposób
oszukiwał Henryka. Zapewniał, że
nie ma na świecie bardziej od
nas genialnego narodu. Po
paromiesięcznym pobycie w
jakimkolwiek kraju przeciętny
Polak arcybiegle włada jego
językiem! A już co się tyczy
wytrwałości... słońce nie
oglądało nigdy mężów podobnych
rycerstwu lechickiemu.

Typowe postępowanie dyplomaty

spragnionego osobistego sukcesu
i per fas et nefas
załatwiającego zleczone sprawy.
Gdyby wcześniej poważnie
zainteresowano się osobą
Henryka, może nie przytrafiłaby
się niespodzianka z jego
ucieczką wkrótce po wyborze. Bo
niewiele było sensu w
powoływaniu do Polski jedyne
spadkobiercy słabowitego króla
Francji Karola IX, sadysty i
suchotnika. Rychłe osierocenie
tronu paryskiego nadawało się do
przewidzenia - dla ludzi, którzy
by zawczasu sprawdzali, badali,
wiedzieli. Najważniejsze kwestie
musiała Rzeczpospolita załatwiać
w pośpiechu. W dodatku -
wszystko, co czyniła, nosiło
charakter wyprawy w nieznane.
Powtórzmy - brakowało krzty
doświadczenia. Elekcje
Jagiellońskie stanowiły
formalność. Syn brał berło po
ojcu, młodszy brat po starszym.

Jesteśmy oczywiście dalecy od wyczerpania tematu. Z lawiny, jaka w roku 1572 zwała się na Rzeczpospolitą, wymieniłem niektóre tylko ciężary. Pomiąłem na przykład sprawę porządku wewnętrznego. Bezkrólewie psuło go w sposób oczywisty. Kogo słuchać? Kto ma być zastępcą króla, interrexem? Prymas Uchański czy też marszałek wielki koronny Firlej, protestant? Nie wspomniałem o wymiarze sprawiedliwości. Tysiące spraw zalegało, bo dwaj ostatni Jagiellonowie z dziwną beztroską zaniedbywali sądownictwo. A polityka zagraniczna, groźba wojen? Zdaniem świadków "nowy stan rzeczy przeraził Polskę". Szlachta samorzutnie siadała na koń, pewna, że teraz dopiero na wszystkich granicach zacznie się taniec. Kandydaturę Groźnego wysuwano także i po to, aby go skłonić do dotrzymywania paktu pokojowego.

Historia to bardzo niewygodna

dziedzina wiedzy. Niczego się nie pojmie, nie znając konkretnego. Trzeba pamiętać o tysiącu zjawisk i wydarzeń, bo dopiero ich połączone działanie i wzajemne na siebie oddziaływanie wyjaśnia rezultat. A ponieważ darmo marzyć o poznaniu wszystkich czynników, wiedza ta jest zawsze dość względna. W każdym razie - od pełni i ścisłości daleka.

Tymczasem zamiłowanie do uproszczeń skłania zazwyczaj do poszukiwania wszystko wyjaśniającej formuły. Nazywa się to niekiedy ustalaniem praw dziejowych czy też rozwoju społecznego. W praktyce przybiera często postać wyrokowania, kokietowania socjologią lub takiej

ośmieszającej łatwizny, jak wyjaśnianie wszystkiego przy pomocy odwoływania się do cech charakterów narodowych. W sporadycznych wypadkach mamy do czynienia z czymś, co zdecydowanie przypomina magię. Stwierdza na przykład uczony dziejopis, iż w określonej epoce historii powszechnej (czy europejskiej) występowała dana tendencja i nic go już nie obchodzi, kto, kiedy i jak sprawił, że w konkretnym kraju urzeczywistniła się ta tendencja właśnie, a nie jej zaprzeczenie, co także stać się mogło. Powiedzieć, że zgodna współpraca Jagiełły, Witolda i Skirgiełły doprowadziła do prawdziwego zjednoczenia Litwy - to haniebny personalizm. Przemilczeć świadomą celową pracę tych polityków, a powołać się na "tendencję" - oto właściwy sposób postępowania.

W XV i XVI wieku niewątpliwie istniało w Polsce i wzięło nawet górę dążenie do głosowania w sejmie większością. Tylko potrzebnego prawa w porę nie uchwalono, czego skutki znamy. Żadna tendencja sama przez się

nie zwycięży. Muszą jej dopomóc ludzie. Albo przeszkodzić.

Losy zbiorowisk ludzkich zależą od faktów przez ludzi dokonanych. (Żyjemy na ziemi, to prawda niewątpliwa. Ale od czasów ostatniego zlodowacenia nie przytrafiło się w naturze nic, co by w sposób bezapelacyjny podyktowało przemiany dziejowe). O odwracaniu koła historii można tylko wzniośle kazać, bo dokonać tej sztuki nikt jeszcze nie zdołał. Faktów dokonanych żadna siła odrobić nie potrafi. Mało znane, a tragiczne losy Polski dostarczają po temu niezastąpionych dowodów.

Zjawiska masowe, praca
beziemiennych tłumów to rzeczy
czcigodne. Ale my doskonale
wiemy, że decyzje nielicznych
grup, nawet jednostek
sprawujących władzę mogą ów
dorobek po prostu zmarnować.
Zdaniem fachowców przyroda
zachowuje się tak, jakby dbała
tylko o zachowanie jak
największej ilości gatunków, a
cierpienia osobnicze były jej
obojętne. Jeżeli to prawda -
historia jest stokroć bardziej
niemiłosierna od przyrody.
Marnuje zdobycze całych
społeczności, zaprzepaszcza i je
same. Kto upiera się patrzeć
tylko od strony osiągnięć, które
się jako tako utrwaliły, ten ma
w oczach pozór logiki i sensu.
Prawa historii zaczynają
wyglądać podejrzanie, jeśli
spojrzeć od strony ruin, czyli
tego, co przepadło z niewatpliwa
szkodą dla powszechności. Ten
punkt widzenia zająć zresztą
trudno, bo gruzy najcięższej
piaskiem zanosi i wcale o nich
nie wiemy. Ale pisarzowi
polskiemu, wielbicielowi
tradycji Rzeczypospolitej Obojga
Narodów, ów tragiczny punkt
widzenia przystoi.
Trzeba odważyć się na rzecz
bardzo ryzykowną. Powiedzieć o
dziwnych kapryśkach losu. O

irracjonalnym czynnikiem szczęścia
w historii.

W lutym 1517 roku Franciszek I
zawarł z papieżem konkordat w
Bolonii. Obie strony uzyskały
korzyści. Król Francji otrzymał
faktyczne prawo rozporządzania
godnościami i dobrami
kościelnymi w swym kraju,
ponieważ on wybierał kandydatów
na stanowiska biskupie i inne.
Papież zatwierdzał ich
formalnie, ex post. Za każdą
nominację należało się monarsze

odwdzięczyć. Skarb francuski wzbogacił się o niewyczerpane źródło dopływu. 31 października tego samego 1517 roku Luter ogłosił w Norymberdze swoje tezy o odpustach, zaczęła się reformacja. Los obdarzył Francję drogowskazem, ustawionym grubo zawczasu. Jej królowie u siebie w domu wiernie trzymali się katolicyzmu, na zewnątrz współdziałali z protestantami. Kiedy podpisywano konkordat w Bolonii, nikt nie mógł przewidzieć, jaką rolę zaczął grać wkrótce jego klauzule.

Stanisław Mackiewicz pięknie porównuje historię do rzeki, która w określonym kierunku płynąć musi. Wydarzenia miewają - jego zdaniem - znaczenie doraźne, lecz nie są zdolne zmienić biegu nurtu. Porównanie wydaje mi się o tyle nietrafne, że "rzeka" historii donikąd nie płynie. Wydarzenia właśnie żłobią dla niej koryto, niekiedy odwracają prąd.

Zdecydowana większość naszych dzisiejszych historyków chce badać zjawiska powtarzalne i na tym fundamencie budować uogólnienia naukowe. Doprowadzi to do zrozumienia prawidłowości rozwoju. Wyjaśni terażniejszość przez przeszłość.

W niczym pewnie temu zamiarowi nie przeszkodzę, jeśli wyznam, że mnie osobiście interesują przede wszystkim zjawiska niepowtarzalne. Dodam tylko, że

dziwi mnie trochę lekceważenie ich dzisiaj. Przecież cały myślący świat drży teraz przed nieporozumieniem lub przypadkiem, który może spowodować salwę nuklearną i zgładzić cywilizację. Watpię, czy zdołam kiedykolwiek wytłumaczyć terażniejszość przez przeszłość. Wiem tylko, że nikt nie

może mi zaprzeczyć prawa patrzenia na historię oczyma człowieka XX wieku.

Powątpiewam również, czy jakiegokolwiek prawidłowości potrafią nam wyjaśnić przyczyny upadku Polski, który to upadek był zupełnym fenomenem nie znajdującym w dziejach analogii. Nigdy państwo o tak wielkim potencjale i możliwościach w podobny sposób nie zbankrutowało. Nie ograniczajmy się zresztą do samej tylko historii Polski. Spójrzmy na przeszłość ogólnosłowiańską. W pierwszej połowie XIII wieku najazdy Tatarów radykalnie zmieniły jej losy. Cała niemal dawniejsza struktura wschodniej Słowiańszczyzny i cała bez reszty jej równowaga przestały istnieć. To, co się później na nowo sformowało, było od dawnego, bardzo wartościowego porządku zupełnie odmienne.

Proszę się tylko nie powoływać na historiografię anglosaską czy inną, która od dawna bardziej się zajmuje dziejami gospodarki niż państwa. Powietrzem oddychamy, lecz interesujemy się nim dopiero wtedy, gdy go nie staje. Nasze doświadczenia też mają cenę, wolno to stwierdzić bez magalomanii. Dzięki nim bez zdziwienia dowiadujemy się o znamiennej ewolucji poglądów Amerykanina, Ch. A. Bearda, pioniera "nowej historii". Po obu wojnach światowych w zapatrywaniach uczonego zaszły zmiany: "Siły ekonomiczne nie straciły na znaczeniu, ale wzrosła waga czynników

politycznych i wojskowych, rola przywódców i generałów". Wiek XX udziela lekcji poglądowych. Poucza nawet tych, co słabo je dotychczas odczuwali na własnej skórze.

Twierdzę, że zawsze - nawet w stuleciu XIX - znaczna była rola tych, co sprawując władzę mogli stwarzać fakty dokonane, kształtujące losy pokoleń. Skoro Bismarck doprowadził do ogłoszenia w Wersalu cesarstwa, to już nie można było powrócić do czasów, w których za przedstawiciela marzących o zjednoczeniu Niemiec uchodził liberalny parlament z Frankfurtu nad Menem. Cała Europa musiała się z tym liczyć i do tego stanu rzeczy dopasować swe postępowanie. Zdaję sobie sprawę, że wywody niniejsze przypominają mozolne udowadnianie tezy: $2 \cdot 2 = 4$. Rozmaite polemiki przekonały mnie jednak o potrzebie takiego dowodzenia.

Lipiec 1572 roku zapoczątkował dwuletni okres, z którego wyłonił się fakt dokonany o wielkim znaczeniu dla Rzeczypospolitej i nie tylko dla niej. Kraj zachował swój poprzedni ustrój gospodarczy i społeczny, lecz wyniósł z zamętu nową i złą konstytucję. Henryk I i Stefan I używali tej samej korony, co Zygmunt August, zasiadali na tym samym tronie. Nie mieli jednak ani połowy władzy, jaka służyła jemu. A gdyby oni lub ich następcy ośmielili się naruszyć ograniczające królów prawo - poddani mogli w ogóle wypowiedzieć posłuszeństwo. Mogliby to zrobić legalnie, nie stając się wiarołomcami.

Wspomniana już dyskusja w "Przeglądzie Kulturalnym" zdradziła dziwny objaw. Inicjując ją, podkreśliłem bardzo silnie kwestię konstytucji, czyli artykułów henrycjańskich.

Nikogo to nie zainteresowało. Dyskutanci pisali o ideologii,

socjologii, strukturze państwa, jego gospodarce i wielu innych rzeczach. Prawną stronę zagadnienia zepchnięto już nie w cień nawet, lecz w całkowity niebyt. Zupełnie tak, jakby o samym istnieniu prawa zapomniano. Nie można chyba traktować obowiązującej konstytucji jako czegoś, co niby jest, ale w gruncie rzeczy go nie ma. Nie wolno mniemać, że wszystko jedno, jakie prawa napisano i zatwierdzono, bo ważni są tylko ludzie, którzy je wykonują. Nie wolno, bo prawo (lub bezprawie) ludzi wychowuje.

Ośrodek władzy, czynnik absolutnie niezbędny dla harmonijnego rozwoju społeczeństwa, został u nas zmarnowany. Zwałtłał tak bardzo, że niemal istnieć przestał jako siła realna. To sprawiło, że nasze dzieje rozminęły się z historią Europy. Bo Elementów anarchizujących wszędzie był dostatek. U nas zabrakło tylko dla nich tamy, wskutek czego od połowy XVII wieku, kiedy "potop" wojen spustoszył i zbarbaryzował kraj, spęczniały one do potwornych rozmiarów. Jak się nazywa w naszej historii chwila wyjścia z długotrwałego kryzysu? Zowie się Konstytucją trzeciego maja. Ośrodek władzy powracał do rzeczywistego życia dzięki nowej ustawie. Poprzedził ją "przewrót umysłowy XVIII wieku" i długi okres pracy odnowicielskiej, wiem o tym. Ale prądy dodatnie musiały kulminować w nowej i mądrej ustawie zasadniczej. To był niezbędny warunek obalenia strupieszalego porządku i otwarcia drogi ku dalszym reformom. Ci, którzy wcześniej - o, znacznie wcześniej! - pojmowali szkodliwość artykułów henrycjańskich, wołali zawsze o "korekturę praw". To żądanie słychać było głośno i w XVII

wieku. Obawiam się, że dawni Polacy o wiele poważniej traktowali prawo, niż to czynią współcześni. Cytuję słowa Piotra Skargi: "Bo złe prawo gorsze jest niżli tyran, którego wždy moc z śmiercią ustaje; lecz złe prawo zawždy nad ludźmi tyranizuje i każdego bez miłosierdzia uciska".

Aleksander Bocheński wydał niedawno temu ciekawą książkę "Nienawiść i miłość La Rochefoucauld". Autor, znany powszechnie z surowych sądów o naszej historii, namiętny oskarżyciel wrodzonej Polakom głupoty politycznej i zamiłowań do anarchii, tak oto charakteryzuje Francję początków XVII wieku: "Siły feudałów zdawały się ogarniać cały kraj. Dysponowali całą szlachta zaprawioną od wieków do wojny. Siedzieli w miastach, których byli gubernatorami, i w zamkach obronnych, trudnych do zdobycia. Gdy król szedł na wojnę, szlachta zbiegała się tłumnie i wesoło, by mu towarzyszyć i współzawodniczyć w bohaterstwie. Ale uważała Francję za federację niezależnych państweczek, z których każde mogło zawierać sojusze z obcymi państwami i wypowiadać posłuszeństwo swemu władcy. Póki stan możnowładczy nie rozumiał, *1 że ma wobec korony, wobec rządu centralnego obowiązki, nade wszystko obowiązek dyscypliny i wierności, póty o żadnej polityce zagranicznej ani wewnętrznej państwa nie mogło być mowy". I znowu się okazuje, że Polska nie miała monopolu. Sam Prokurator naczelny to stwierdził.

Stan możnowładczy we Francji nigdy tego nie zrozumiał.

W poszczególnych okresach dziejów Francji władza monarsza słabła ogromnie. Lecz nigdy w tym kraju nie wydano prawomocnej ustawy, która by pozbawiała

królewskie dążenia naprawcze
cech legalności. W Polsce po
uchwaleniu artykułów
henrycjańskich legalnie
postępował ten, kto się
sprzeciwiał przedłużeniu sesji
sejmowej poza termin sześciu
tygodni. Królom naszym
pozostawały drogi z prawem
sprzeczne lub nieopisanie
trudne. Bo niełatwo zaiste było
przekonać uprzywilejowanych, by
raczyli się zrzec części swych
przywilejów. Na taki cud musiała
Polska czekać aż do Sejmu
Wielkiego i Konstytucji 3 maja,
która stanowi fenomen reformy
głębokiej, dokonanej przez
mądrzejszy odłam
uprzywilejowanych bez gwałtu i
krwi przelania, ale... w drodze
zamachu stanu.

Można bez trudu znaleźć i w
nowszych dziejach dowody na to,
czym jest uchwała konstytucyjna
w państwie praworządnym. Bo o
takich tylko tu mowa. Nie
zajmujemy się w tej chwili
tyraniami, w których wola
despoty znaczy wszystko, a prawa
jeśli się nawet pisze, to dla
pozoru, na niby.

W roku 1875 zwolennicy
republiki przeważyli w
parlamencie francuskim
większością jednego głosu.
Pomimo tak mizernego sukcesu
początkowego La République
istnieje. Oczywiście można
wywodzić, że zwyciężyłaby i
później w inny sposób, gdyby
nawet głosowanie wypadło wtedy
inaczej. Mówić (na wiatr) można
wszystko. Gdyby zwyciężyła
później, to za cenę jeszcze
jednego przewrotu lub rewolucji,
to znaczy za cenę innego
zupełnie układu dziejów Europy.
Bismarck by z założonymi rękami
nie siedział. Aleksander III nie
zawarłby tak łatwo paktu z

krajem, który znowu przegnał
króla.

Niepojęte, jak można rezonować
o historii Polski, nie

interesując się tym, że artykuły
henrycjańskie, czyli prawnie
obowiązująca konstytucja,
zrobiły z polskiego monarchy
kukłę. Ubóstwo nas zgubiło?
Niedorozwój gospodarczy? Gustaw
Adolf szwedzki finansował udział
Szwecji w niemieckiej wojnie
trzydziestoletniej polskimi
pieniędzmi. Narzucił cło, haracz
raczej, naszemu handlowi
morskiemu. Rząd Rzeczypospolitej
miałby skąd czerpać środki
materialne, ale możliwości
działania tak dobrze jak nie
posiadał.

Artykuły henrycjańskie ułożono
podczas pierwszej wolnej
elekcji, zatwierdzono podczas
drugiej, po ucieczce Walezjusza,
kiedy chaos stał się całkiem
rozpaczliwy i należało na gwałt
jakiś ład klecić. W zamierzeniu
większości swoich twórców
artykuły te stanowiły wstęp do
reformy. Miały zabezpieczyć kraj
przed nadużyciami ze strony
cudzoziemca na tronie i skłonić
go do współpracy z sejmem.
Dalszemu ciągowi reformy
przeszkodził jej wróg
śmiertelny, magnateria, której
artykuły dały niezastąpioną broń
do ręki.

Ogół szlachecki nie poradził
sobie z kwadraturą koła. Kwestię
konstytucji źle rozstrzygnął.
Ale to nie tak było, że naród
swą władzę państwową
zaprzepaścił. Ona sama siebie
zmarnowała, z uporem działając
poprzednio wbrew większości
społeczeństwa.

Wielcy i mali

Szeroko rozprawiałem o

kryzysie państwowym wywołanym przez dwukrotne - w przeciągu trzech lat! - bezkrólewie. A teraz przytoczę, za Arturem Śliwińskim, zwięzłą opinię Andrzeja Lubienieckiego o nastrojach panujących w Polsce nieco wcześniej: "Kilka lat

przed śmiercią królewską, gdzie się jeno zjechało kilka ludzi duchownych, świeckich, bądź to senatorów, bądź szlachty, nawet kupców, nigdy nie chybiło, aby byli nie mieli o przyszłym interregnum mówić, a to z wielką bojaźnią i struchleniem".

Chwila zmiany warty u władzy zawsze jest kryzysem. Lecz tak wielkie przesilenie wcale nie musiało w Polsce nastąpić. Społeczeństwo widziało, że dynastia dogorywa, i pragnęło się w porę zabezpieczyć. Aby uniknąć wstrząsu, należało dogadać się z przedstawicielem większości szlachty, z izbą poselską sejmu. Była nieliczna. Składała się z jakichś osiemdziesięciu ludzi, przeważnie wytrawnych, świadomych celu działaczy. W druzgocącej przewadze - z protestantów. To znaczy z ludzi skłonnych do racjonalistycznego, a ideologicznego traktowania polityki, czułych na punkcie suwerenności kraju.

Muszę się odwołać do wywodów bardzo sumiennego i zrównoważonego badacza. Wincenty Zakrzewski pisze o chwili obejmowania rządów przez ostatniego Jagiellona: "Wszystko składało się na to, aby Zygmunt August stał się tym królem, który myśl reformy pochwyci, poparty przez cały naród, dzielnie przeprowadzi, ład i porządek wewnętrzny ustali, potężne zorganizuje państwo, a zyskując dla siebie i następców

swych silne stanowisko i władzę, nieśmiertelną swe imię okryje chwałą".

Znakomity historyk niezbyt precyzyjnie wyraził się o "całym narodzie". Narodów tych było w Rzeczypospolitej trzy - litewski, polski oraz ruski (porządek alfabetyczny jest wskazany, aby nikogo nie urazić). Magnateria każdej z tych nacji nawet słuchać nie

chciała o reformie, na której mogła tylko stracić. Zdecydowana zwolenniczką poprawy była szlachta koronna, czyli polska. Ogarniały ją wpływy dwóch wielkich prądów umysłowych epoki - renesansu i reformacji. Wpływy zachodnie znakomicie dopomogły rozwojowi tego, co już od dawna na rodzimym gruncie nadwiślańskim kiełkowało. XV wiek wydał rozumny i śmiały traktat Jana Ostroroga, XVI przyniósł znakomite dzieło Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Rozprawa wojewody z Poznania mogła oddziaływać tylko na Polaków, utwór wójta z Wolborza zyskał podziw Europy. Różnica w skali, lecz nie w tendencji.

Wincenty Zakrzewski tak podsumowuje rządy ostatniego z Jagiellonów: "Że niepowrotnie minęła jedyna niemal chwila, w której bez nieprzełamanych trudności można było w Polsce zapewnić państwu niezbędne warunki trwałego bytu; że zmarniał bez skutku prawie cały ów ruch potężny, jaki większość społeczeństwa polskiego podówczas ożywiało; że odwracając się od naturalnej i danej już podstawy do stworzenia silnego rządu, od władzy królewskiej, poczęto szukać nowych dlań podstaw: - tego cała niemal wina ciąży na Zygmuncie Auguście i ciężarem swym przeważa o wiele

to wszystko dobre, które się stało za jego czasów, przy jego czynnym spóludziale... trzeba to stwierdzić, że Zygmunt August nie wypełnił zadania, jakie przypadało temu, który podówczas na tronie polskim zasiadał - i to stanowi ciężką jego winę polityczną".

Fakt dokonany to nie zawsze czyn spełniony. Niekiedy faktem tym jest brak działania, bezczynność.

Nie poprzestawałbym jednak na liczeniu grzechów Zygmunta Augusta. Wykoleiła Polskę

arystokratyczna doktryna rządzenia, której hołdowali obaj ostatni Jagiellonowie. Ruch reformatorski zaczął się wśród szlachty w samych początkach XVI wieku i trwał długo. Wyraźne jego echa czuć jeszcze w stuleciu XVII, w rokoszu Zebrzydowskiego. Knyszyn, gdzie zmarł Zygmunt August, zapisany królom przez poprzedniego właściciela, dostał się im tylko dlatego, że szlachta podlaska zbrojnie zmusiła Radziwiłłów do wykonania testamentu. Wydarzenia idealnie symboliczne, bo król pozostał dożywotnim sojusznikiem nie szlachty, lecz właśnie Radziwiłłów. Zaufanym przyjacielem Zygmunta Starego nie był prymas Jan Łaski, przywódca średniego ziemiaństwa, jeden z najwybitniejszych polityków, jakich Polska kiedykolwiek miała. Faworem cieszył się Krzysztof Szydłowiecki, bardzo wielki pan i płatny agent habsburski, który brał od cesarza pieniądze, a prosił też o prezent w postaci żywego Indianina. Ameryka zaliczała się wtedy do najświeższych sensacji. Szydłowiecki był człowiekiem kulturalnym, ciekawym świata.

Kilkadziesiąt lat konfliktu między władzą centralną a przedstawicielem lepszej części społeczeństwa, sejmem walnym koronnym, który chce tę władzę nie na papierze, lecz w praktyce życiowej skrzepić, dając jej środki materialne. I który nigdy nie przekracza granic legalności! Wszystko w dobie zupełnie dobrej koniunktury międzynarodowej, kiedy jedyny naprawdę bardzo straszny kandydat na wroga, sułtan turecki, niczego oprócz pokoju właściwie od Polski nie pragnie. Tego rodzaju polityki nie można prowadzić bezkarnie. Ktoś musi za nią zapłacić. W danym wypadku zapłaciły pokolenia, którym

przyszło żyć po roku 1648, gdy koniunktura międzynarodowa uległa zmianie radykalnej. Zapłaciło państwo polskie, sama organizacja życia zbiorowego.

Obu Zygmuntom służyła swoboda wyboru. Poprzednicy - Aleksander, Jan Olbracht, Kazimierz Jagiellończyk - pozostawili im wyrobioną tradycję współpracy tronu z szeregową szlachtą, którą historycy od dawna uznają za polski "stan trzeci". Owo współdziałanie wcześniej dało błogosławiony rezultat. Już w końcu XV wieku posłowie zjeżdżali na sejmy wyposażeni w zupełne pełnomocnictwa głosowania według własnego uznania, nie skrępowani instrukcjami sejmików, i decydowali większością. Świetną tradycję jagiellońską dwaj ostatni Jagiellonowie odrzucili. Zagadnienia nie da się wyjaśnić bez zwrócenia uwagi na ich własne koncepcje polityczne. To był świadomy wybór arystokratycznej doktryny rządzenia. Sojusz z tymi, co

reprezentują same szczyty,
pogarda dla tych, co w izbie
obrad zasiadają "opozad", czyli
w pobliżu drzwi. Żaden
determinizm nie działał. Obaj
Zygmuntowie mieli swobodę
decydowania, zwłaszcza ten
drugi, młodszy. Reformatorzy
czekali na niego z wyciągniętymi
dłońmi.

W państwie Habsburgów oraz w
wielu innych krajach
arystokratom też dobrze się
wiodło. Oligarchia nie
wszystkich jakoś popchnęła do
zguby, prawidłowości dopatrzeć
się trudno. Znowu występuje fakt
niepowtarzalny i trzeba o nim
porozmawiać. Nie dokonawszy
tego, nie potrafimy połapać się
w zawiłościach historii, która -
mówiąc bez przesady - wszędzie i
zawsze obfituje w fenomeny.

Los postawił wówczas

Rzeczypospolitej określone
żądanie i oznaczył w dodatku
termin wykonania. Można wskazać
datę, przed którą reforma
musiała być przeprowadzona,
jeśli państwo miało uniknąć
szalonych, beznadziejnych niemal
trudności. Był nią rok 1569,
dzień Unii Lubelskiej. Nie
naprawiono ustroju, nie
przygotowano lepszych
instrumentów rządzenia w
Koronie, dopóki była ona
państwem terytorialnie szczupłym
i wolnym od zbyt już jaskrawych
różnic społecznych. A Korona
właśnie, jako prowincja bardziej
pod każdym względem
zaawansowana, wytwarzała normy
przejmowane przez całe państwo,
wypracowywała model ustroju. Akt
lubelski przyłączył do niej
Podlasie, Wołyń i całą w ogóle
Ukrainę, "która jest dłuższa i
szersza niżeli Polska mała i
wielka", jak się w roku 1594
zupełnie słusznie wyraził książdz

Józef Wereszczyński, katolicki biskup Kijowa.

W Wielkopolsce najpotężniejszymi panami byli Górkowie, w Małopolsce Tarnowscy. Po wszystkich awansach i jagiellońskich darowiznach mieli włości bardzo znaczne - po kilkadziesiąt do stu wsi. O parę głów przerastali ich wielmoże duchowni. Biskupi bywali włodarzami kilkunastu miast, paruset wiosek. Klasztory również bywały bogate. W Koronie, która wraz z Podlasiem liczyła jakieś sto pięćdziesiąt pięć tysięcy kilometrów kwadratowych, brakowało miejsca na znaczniejsze latyfundia. Wedle stawu grobla. Pan Górka i pan Tarnowski musieli się dobrze liczyć z opinią panów braci rang pomniejszych, którzy zebrawszy się do kupy przeważali nad magnatami.

Książę Janusz Ostrogski żył na przełomie XVI i XVII wieku. Na Wołyniu dziedziczył około stu

miast oraz zamków i tysiąc kilkaset wsi. Na dalszych połaciach Ukrainy otrzymał sześć najbogatszych i najrozleglejszych starostw. Uchwały sejmowe dawały magnatom na własność pustki ukraińskie liczące tysiące kilometrów kwadratowych. Obszarowi kilku powiatów razem wziętych równały się czasem takie darowizny. Ale owe pustki pustkami rychło być przestawały. Rok 1569 zniósł granicę pomiędzy Ukrainą a gęsto zaludnioną Koroną. Paragrafy Statutu Litewskiego, broniące koroniarzom dostępu tutaj, działać przestały. (Prawo! prawo!) Potop ludzki lunął na Ukrainę. Zdaniem współczesnych obserwatorów, całe regiony zaczęły się wyludniać w Polsce rdzennej. Plebs koronny - chłop,

mieszczanin, nawet drobny szlachcic - wzmógł naród ukraiński, wtopił się w jego organizm.

Rok 1590 przyniósł ustawę sejmową "Porządek z strony niżowców i Ukrainy", oficjalnie wprowadzając nazwę tego kraju do terminologii politycznej. Od tej daty akcja kolonizacyjna po obu brzegach Dniepru nabrała niebywałego rozmachu. Działy się rzeczy, które do pewnego stopnia można porównywać ze znanymi zjawiskami historii Stanów Zjednoczonych, opanowujących olbrzymie obszary Południa i Dzikiego Zachodu. "Burza rozwoju ekonomicznego" dęła w magnackie żagle. Wiśniowieccy mieli w roku 1630 sześćset kilkadziesiąt gospodarstw chłopskich w województwie kijowskim. W piętnaście lat później posiadali ich tam trzydzieści osiem tysięcy. Dwieście trzydzieści tysięcy poddanych, dla których... nawet sąd królewski nie istniał, bo Zygmunt Statry zrzekł się w roku 1518 jurysdykcji państwowej nad chłopami z dóbr prywatnych. W

tych warunkach okiełznanie magnaterii stało się właściwie niemożliwością.

Michał Bobrzyński posunął się do twierdzenia, że jeśli się miało zawrzeć taką unię jak w Lublinie, to lepiej było nie zawierać jej wcale. Nie podzielałam tego poglądu. W lipcu 1569 roku, czyli w chwili podpisywania aktu, władza państwowa była jeszcze u nas całkiem solidna. Stworzona przez Unię Lubelską problematyka wymagała wzmocnienia tej władzy, jedyne go czynnika mogącego utrzymać choć jaką taką równowagę. A już co najmniej - utrzymania dotychczasowego stanu

rzeczy. Dokładnie w trzy lata po Unii władza znalazła się na łasce losu i przemieniła w teorię. Nie wynikało to z żadnych przeznaczeń.

Zapobieżenie złu leżało w mocy ludzkiej. Trzy lata to też ładny szmat czasu. A przecież udoskonalić instrumenty rządzenia można było już na dwadzieścia lat przed Unią Lubelską. Zygmunt August wstąpił na tron w roku 1548. POparcie posłów miałby - gdyby chciał.

W roku 1519 wskutek sporu Olbrachta Gasztołda z Mikołajem Radziwiłłem wojska litewskie nie zebrały się w Krewie, nie zwołano pospolitego ruszenia i armia moskiewska stanęła o dwie mile od Wilna. I polscy, i litewscy magnaci spiskowali z cesarzem, to z księciem pruskim, przestępczo, z premedytacją prowokowali sułtana. Nie brakowało więc pouczeń. Wiadomo było, czym grozą machinacje wielkich. Nawet takich, co nie porobili jeszcze na Ukrainie zawrotnych karier.

Przyjął się pogląd, że administracyjne przyłączenie tego kraju do Korony dało kolosalną szansę szlachcie polskiej, która bez skrupułów wyzyskała sposobność. Co do

braku skrupułów - zgoda. Ale w myśl zasady, że bez znajomości konkretnego nie ma wiedzy o historii, przyjrzyjmy się teraz trzem pokoleniom kniaziów Ostrogskich. Zaraz się okaże, dlaczego im właśnie.

Dziad - Konstanty (1460_#1530). Hetman wielki litewski, nazywający Wilno swą stolicą, pochowany w Ławrze Peczerskiej. Zwycięzca spod Orszy i w dziesiątkach innych bitew. Wierny wyznawca prawosławia.

Ojciec - Konstanty Wasyl
(1527_#1608). Starosta
włodzimierski, marszałek ziemski
wołyński, wojewoda kijowski.
Wróg zawartej w Brześciu unii
kościelnej. Główny w
Rzeczypospolitej filar
prawosławia.

Syn - Janusz (1554_#1620).
Wojewoda wołyński, starosta
białocerkiewski, czerkaski,
włodzimierski, kaniowski,
perejasławski, bohusławski, od
roku 1593 kasztelan krakowski.
Pierwszy w tym rodzie katolik.

A więc u schyłku XVI wieku, za
Zygmunta III, najwyższym
dostojnikiem świeckim
Rzeczypospolitej Obojga Narodów
został Rusin, Ukrainiec.
Kasztelan, "pan" krakowski
zajmował w senacie pierwsze
miejsce po biskupach. Narodowego
pochodzenia Janusza nie
odmieniła przecież matka, Zofia
Tarnowska z domu. Nie sprawiło
tego i przejście na katolicyzm.
Rok 1593 przyniósł Ostrogskiemu
nie tylko awans, lecz i sukces
wojenny. 2 lutego, pod Piątkiem
na Wołyniu, wspólnie z Aleksandrem
Wiśniowieckim pokonał on
zbuntowanych Kozaków, którymi
dowodził Krzysztof Kosiński,
Polak krwi czystej, szlachcic
mazowiecki. Pierwsze w dziejach,
prowadzone przez Lacha powstanie
ukraińskie stłumili dwaj
ukraińscy magnaci. Wiśniowieccy
jeszcze się wtedy nie zdażyli

nawrócić na katolicyzm.

Największym posiadaczem
ziemskim w województwie
braclawskim był Polak, hetman
Stanisław Koniecpolski,
znakomity wojownik. Umarł na rok
przed powstaniem Chmielnickiego.
Pod Machnowką i Konstantynowem,
do spółki z Jeremim
Wiśniowieckim, walczył przeciwko
Chmielnickiemu wojewoda kijowski

Janusz Tyszkiewicz.
Tyszkiewiczowie to nie Korona,
lecz Litwa.

Plebs koronny wzmógł naród
ukraiński, dopomógł mu do
swoistej eksplozji
demograficznej. Gęściej teraz
zaludniona, z natury przebogata
Ukraina stała się polem do
popisu dla magnaterii wszystkich
trzech narodów Rzeczypospolitej
- polskiego, litewskiego i
ruskiego. Taka jest prawda,
którą doskonale znał Bohdan
Chmielnicki, kiedy mówił w roku
1649: "Lachom i Litwie nic do
nas, wojska zaporoskiego i do
Białej Rusi... My w poddaństwie
i niewoli u nich być nie
chcemy". Do Lachów zaliczał
oczywiście całą spolonizowaną i
katolicką część szlachty
ukraińskiej - Wiśniowieckich,
Ostrogskich. Bo przeciwko
ruskiej szlachcie prawosławnej
nic nie miał. Sam się przecież
zaliczał do urodzonych.

To była dygresja, mająca na
celu rozprawę z poglądami
nacjonalistycznymi, którym
hołdują zarówno ich jawni
zwolennicy, jak i teoretyczni
przeciwnicy. Pierwsi całą
szlachtę Rzeczypospolitej
nazywali po prostu Polakami,
drudzy robią właściwie to samo.
Nie takie to proste było w
rzeczywistości historycznej.

Janusz Ostrogski nie miał
sobie w państwie równych pod
względem majątkowym. Do skrzyń
jego wpływało co roku więcej
złota niż do kas skarbowych.
Zaległości podatkowe

najbogatszego obywatela
Rzeczypospolitej wyrażały się w
liczbach astronomicznych. Nie
płacił. Rząd nie władał żadnymi
środkami przymusu. Bo i jakież
mogły mu służyć w ustroju
określonym przez artykuły

henrycjańskie?

Opuśćmy najwyższe piętra
ówczesnej hierarchii społecznej,
rozejrzyjmy się po niższych
nieco. Oto dawny sekretarz
Zygmunta Augusta, Jan Tomasz
Drohojowski herbu Korczak.
Szczegółowy jego życiorys
wydrukował w "Polskim Słowniku
Biograficznym" Kazimierz Lepszy.
Cóż to za nieocenione
wydawnictwo, ten "Słownik"!
Tysiące czułych sond
zapuszczonych w ciało historii.
Sprawy jej, pokazane poprzez
losy ludzi żywych, najczęściej
takich, co wcale nie figurują w
podręcznikach. Konkret - niczym
niezastąpiony sprawdzian
wiarygodności teorii, uogólnień
i syntez. Wyłącznie on wypełnia
szpalty "Słownika".

7 lipca 1572 roku Drohojowski
zachował się wspaniale. Nie
przywłaszczył sobie niczego ze
skarbów nieboszczyka, starał się
za to ratować je dla królewskiej
siostry i spadkobierczyni, Anny
Jagiellonki. Potem wiernie
służył kolejnym monarchom. Wraz
ze Stefanem I był pod Gdańskiem,
Wielizem, Wielkimi Łukami. Za
Zygmunta III wodził własne
chorągwie do Mołdawii i
Wołoszczyzny, strzegł granicy
przeciwko Tatarom. Posłował do
Francji, Turcji oraz Inflant,
gdzie dobrze załatwiał sprawy
trudne. Uczestniczył w
pochwyceniu Samuela
Zborowskiego. Asystował w jego
egzekucji. Stał po stronie Jana
Zamoyskiego. Pilnował wziętego
do niewoli arcyksięcia
Maksymiliana. Jemu powierzono
później grzeczny nadzór nad
posłem cesarskim, aby nie
bruździł. Wzorowy obywatel! Nic

tylko czapkę zdjąć i skłonić się
do ziemi.

Drohojowski doszedł do

majątku, który nic wprawdzie nie
znaczył przy fortunie
Radziwiłłów, ale swoje zrobił.
Pozwolił mu na przykład wadzić
się zbrojnie z Aleksandrem
Ostrogskim. W początkach XVII
wieku zatarg z dziedzicem Leska,
Stanisławem Stadnickim,
przetworzył się w małą wojnę
domową. Nie skutkowały
upomnienia ze strony tegoż
samego Zygmunta III, któremu w
polityce zewnętrznej
Drohojowski uczciwie służył.
Nie pomogła i klątwa biskupia,
rzucana za to, że podczas bitwy
w samym Przemyślu stoczonej kule
z dział uszkodziły katedrę.
Winowajca odpokutował, anatemę
zeń zdjęto. Latem 1605 roku
prywatne wojsko Drohojowskiego
rozbiło obóz pomiędzy Glinem a
Uhercami, czyli mniej więcej
tam, gdzie dziś powstają duże
zapory wodne w Myczkowcach i w
Solinie. Ludność miejscowa
ciężko ucierpiała od
sobiepańskiej wojaczki. Podczas
walki o Bachów Drohojowski
odniósł ranę i 12 listopada 1605
roku zmarł w Przemyślu. Wzorowy
obywatel skończył w sposób
niezbyt przykładowy. Zarobił
właściwie na to samo, co
spotkało Samuela Zborowskiego.

Jeśli prawa historii naprawdę
istnieją, wiele z nich od dawna
sformułowano w postaci przysłów
ludowych. Chleb ludzi bodzie -
wielkim historiozofem był ten,
kto to pierwszy powiedział.
Pomyślność gospodarcza,
europejska koniunktura na
polskie ziarno, "zasługi pług"
na Ukrainie - od tego
wszystkiego rosły fortuny
zarówno olbrzymie, jak mniejsze.
A każda z nich tuczyła ludzi
herbowych, posiadaczy pełni praw
politycznych. Wzmagala je często
i służba państwu. Kamieniem
węgielnym majątku

Drohojowskiego była królewska darowizna. Dano mu w nagrodę całe złoto skonfiskowane gdańszczanom we Lwowie i w Przemyślu. Skoro rosły fortuny, to jednocześnie rosnąć była powinna siła władzy. W Rzeczypospolitej stało się odwrotnie. Pozbawiony wędzidła, po warcholsku korzystał z własnej majątności ten sam człowiek, który uczciwie się zachował wobec otwartych i bezpańskich skrzyń Zygmunta Augusta.

Nie zapomnijmy jednak, że Janowi Tomaszowi Drohojowskiemu, sprawcy małej wojny domowej, było daleko do prawdziwych królewiat.

Fronton kościoła Świętych Piotra i Pawła, wzniesiony przez Paców w Wilnie w wieku XVII, został skomponowany w sposób pomysłowy i naprawdę symboliczny. Hetman Michał Pac, z typową dla epoki pyszną pokorą, kazał się pochować pod głównym progiem świątyni, na którym legł napis: "Hic iacet peccator". Nad drzwiami widniały złote litery słów: "Regina Pacis funda nos in pace". Nie umiejący po łacinie ludek musiał mniemać, że to nazwisko rodu fundatorów trafiło aż tak wysoko. I nie zdumiewał się pewnie ani trochę, że jeszcze wyżej jest już tylko posąg Matki Bożej i krzyż.

Wierny obraz porządków, panujących w społeczności i państwie. Jan Klemens Branicki herbu Gryf był w XVIII wieku panem na Białymstoku. A jego - Branickiego - panem był właściwie sam tylko Pan Bóg. Nie przesadził magnat, który kazał wystawić kapliczkę na brzegu rzeki i napisać na ścianie: "W tym miejscu Pan pana od śmierci wybawił. Z wdzięczności pan Panu ten pomnik wystawił".

Trzeba przytoczyć fragment "Popiołów" Stefana Żeromskiego. Mówi książę Gintułt o dniach

swej młodości, czyli o wczesnej
epoce rządów Stanisława Augusta:

"- Toż pamiętam aż do tej
chwili sejmiki. Sejmiki! -
powtórzył głosem najbardziej
zjadliwym, jaki tylko może być.
- Mój ojciec... kandydował.
Wyszedłem był wówczas ze szkoły
i na owe sprawy patrzałem ze
czcią, jako na rzeczy święte.
Towarzystwem ojcu. Pomnę,
gdyśmy przejeżdżali obok
podmiejskiego błonia, gdzie
mieściło się obozowisko panów
braci równych wojewodzie...
Nigdy nie wyjdą z mej pamięci
owe namioty na dragach, okrytych
brudnymi płachtami, budy z
gałęzi, żerdzi i darniny,
gorejące ogniska, gdzie
zarzynano woły naszego
kontrkandydata i pieczono
ćwierci na roznach. Beczki piwa
i miodu, kufy gorzałki - cha,
cha! - stały tu i ówdzie, a
dokoła nich taczała się z
garnkami, ze szklankami, z
dzbankami i skorupami w ręku
istna horda tatarska, zwana
partią naszego antagonisty.
Chude szkapska wałęsały się tu i
ówdzie, łudząc do reszty, że się
jest w obozowisku kipczackim.
Panowie bracia w kapotach,
opończach, burkach, w butach
wysmarowanych dziegciem albo i
bez butów, ujrzawszy nas
jadących, poczęli coś
wniebogłosy ryczeć i wrywać z
pochew szable. Tegoż dnia wzięli
się do rabunku sklepów
żydowskich, do wybijania szyb,
odrywania okiennic..."

Na to Piotr Olbromski:

"- Po cóż to wskrzeszasz, mości
książę?... Ów raj był waszym,
magnackim. Sam to mówisz".

Stefan I kazał ściąć Samuela
Zborowskiego, o czym wszyscy
wiedzą. Roman Żelewski
przypomniał nam w "Słowniku
Biograficznym", że za napad

zbrojny koło Wasoszy, zabójstwo
i spalenie zwłok zamordowanego
to samo spotkało wówczas innego

senatora, kasztelana Andrzeja
Iłowskiego. Od tej pory
najwyższy wymiar kary dla
wielkich z historii naszej
znikł. Magnat nie miał prawa do
szyi szlacheckiej, lecz
przewertujmy tylko pamiętniki
Matuszewicza i Zawiszy, a zaraz
się przekonamy, że w praktyce
bywało inaczej. Podobno Maryna
Mniszchówna kazała wbić na pal
szlachcica, który jej ubliżył.
Zawisza na pewno ściał łeb
szwagrowi, małemu szlachetce,
macierz Matuszewicza poleciła
dać pewnemu panu bratu tyle
batów, że nie wytrzymał. Memuary
pisują ludzie jako tako
kulturalni. Łatwo sobie
wyobrazić czyny takich, co się
nigdy nie pokalali inkaustem.
Powróćmy na ulicę św. Jana w
Wilnie, gdzie orszak Sapiehów
bodzie rapierami kareteę
Wiśniowieckich, mniemając, że
jedzie w niej pan Kociełł,
kasztelan witebski zaledwie... I
nie patrzmy na samą tylko
wschodnią połąć państwa. Nasz
znajomy z "Potopu", wojewoda
kaliski Andrzej Grudziński,
bezkarnie zabił szlachcica, bo
mu się zachciało jego żony.
Obelgi, razy - to było na
porządku dziennym. Nawet Jerzy
Ossoliński potrafił ordynarnie
znieważać posłów.

"O wielmożni panowie! o
ziemscy bogowie!" - wołał ksiądz
Piotr Skarga. Słuchając głosu
kaznodziei, nie zapomnijmy
jednak, że owi ziemscy niebianie
to byli urzędnicy państwowi. Tak
jest, urzędnicy. Dożywotni,
nieusuwalni, nieodpowiedzialni,
bezkarni. Godność hetmańska nie
dawała miejsca w senacie i każdy
jej piastun zabiegał o tytuł

wojewody lub kasztelana,
zapewniający tam "krzesło".
Potęga hetmanów wyrosła wysoko
ponad królewską, stała się
koszmarem politycznym. Lecz
formalnie hetman był tylko
urzędnikiem wojskowym. Faktyczne

prawo do władzy znalazło się u
nas w rękach nielicznego
względnie grona osób
wyposażonych w dozgonny i
dziedziczny przywilej rządzenia
i wskutek tego - nieuchronną
rzeczy kolejną - zapatrzonych we
własny komfort życiowy. Historia
nasza zapłaciła za to cenę
przeróżającą. I dalej płaci.

W Rosji carskiej istniało
powiedzonko, brzmiące tak:
zróbcie mnie dozorcą skarbowego
wróbla (kazionnogo worobia), a
ja już przy nim całą rodzinę
przeżywię. Analogiczne polskie
przysłowie powinno chyba mieć
taką treść: dajcie mi władzy na
obwinięcie palca, a już ja nią
całemu województwu dokuczę. W
ubiegłym stuleciu pewien
rosyjski filozof ułożył listę
wad, cechujących poszczególne
narodowości. Własnym rodakom był
łaskaw przypisać chamstwo,
Francuzom pospolitość, Anglikom
i Niemcom głupotę, a Polakom
chełpliwość. Słabo powiedziane!
Trzeba mówić - pycha. Pierwsze
miejsce w kościelnym wykazie
grzechów głównych. Powodzenie
uderza Polakom do głowy. Woda
sodowa to straszna dla nich
trucizna.

Melchior Wańkowicz zastanawiał
się kiedyś nad przedziwną
mentalnością urzędników
angielskich, z których każdy dba
o szybkie i sensowne załatwianie
spraw patentów. Doszedł do
niosku, że ludzie ci dziedziczą
obyczaje po rozmaitych
Wschodnio_ i Zachodnioindyjskich
Kompaniach prywatnych, życiowo

zainteresowanych w jak
najlepszej obsłudze klienteli.
Polskie nawyki urzędnicze
wywodzą się niestety z wzorców
nie kupieckich, nie państwowych
i nie szlacheckich nawet, lecz z
magnackich. Każdy z naszych
referentów (że już o dyrektorach
nie wspomnę, a wyżej spojrzeć
się boję) chce być traktowany
jak starosta Mikołaj Potocki,

któremu pewien ziemianin upadł
do nóg, wołając żałośnie: "Tyś
jest Bóg w Trójcy jedyny, weź
syna mojego do konwiktu!" I
postępować jak ksiązę
Jabłonowski, intelektualista i
pisarz, który podczas uczt we
własnym zamku zasiadał do stołu
osobno, w zamkniętym gabinecie,
by się z herbową hołotą nie
mieszać. Tylko podczas toastów
nieco drzwi uchylać pozwalał.

Od dawna istnieje u nas,
składnik polskiej krwi stanowi
swoista mistyka władzy.
Samouwielbienie każdego, kto ją
sprawuje w minimalnym choćby
zakresie. Szczególnie trudno
Polakom pojąć, że władza
polityczna to tylko
funkcjonariusz społeczeństwa i
nic więcej. Nasze, a nie inne
dzieje znają światowy chyba
rekord nadużycia władzy. Mam na
myśli postępowanie Aleksandra
Wielopolskiego w roku 1862 i
1863. Zamiast spełnić słuszne
żądania ogółu, zamiast
skorzystać z jego pojednawczych
przeważnie nastrojów, margrabia
postanowił oddać opornych w
rekruty. Wypuścił na własny
naród upiora, który już i w
Rosji ówczesnej złożony został
do grobu, przebity osikowym
kołem. Wielopolski to istne
wcielenie polskich tradycji
magnackich, wcale nie
wrodzonych. Narodzonych w
określonej dobie historii.

Zgodzę się bez sporu, jeśli mi kto powie, że nadużywanie władzy to także anarchia. Protestuję tylko przeciwko kierowaniu oskarżeń pod niewłaściwym adresem. W konfliktach między społeczeństwem a władzą nie zawsze winowajcą jest społeczeństwo. Nie ma takiej reguły.

Anarchia przemogła ongi w Rzeczypospolitej, ponieważ rząd królewski szedł poprzednio przeciwko społeczeństwu, zmarnował jego dorobek umysłowy

i dobrą wolę. Istota owej anarchii polegała na rozpasaniu wielkich. To było jej koło napędowe. Tłum szlachecki nie wynalazł sobiepaństwa. Zawiedziony i obalamucony, poszedł w ślady tych, co już za Aleksandra i Zygmunta I uważali, że wolno w Polsce - a raczej w Rzeczypospolitej - jak kto chce.

Taką samą maksymę wyznawali w całej Europie rozmaici panowie de i von. Ale tam z biegiem czasu hamulce potężniały. U nas beznadziejnie osłabły, bo sama władza centralna nie pofatygowała się wzmocnić ich w porę. I robiła rzeczy, które musiały demoralizować poddanych. Istnieje w naszej historii kapitalny temat, który pomijamy obojętnie. Mało zastanawiamy się nad tym, jak rzadko w okresie popiastowskim była Polska podmiotem swojej własnej polityki państwowej.

Pisałem o tym obszernie w "Polsce Jagiellonów". Przypomniałem o wielu rzeczach. Między innymi, jak to artyleria z Gdańska wspierała Jana Olbrachta walczącego z bratem Władysławem o tron węgierski, ustawiony, jak wiadomo, za Karpatami. Tak zupełnie, jakby dla działań gdańskich nie było

roboty bliżej, na przykład pod Królewcem. Albo całkiem już blisko - pod Kwidzyniem. Odnosi się wrażenie, jakby poczynając od XV wieku chimery zaczęły wysysać krew z naszej historii. Nieźle zagospodarowana, dość gęsto zaludniona i względnie kulturalna Korona - sama potrzebując jeszcze wielu rzeczy, a zwłaszcza pilnej pracy - musiała dostarczać środków na rozmaite ogromne przedsięwzięcia, które miały jedną cechę wspólną. Nie nadawały się do urzeczywistnienia.

Władysław Konopczyński napisał w I tomie "Dziejów Polski

nowożytnej" o dniach Zygmunta Starego: "Żądać, aby król polski nie dopuszczał w owych czasach Habsburgów do Czech i Węgier, bronił Dunaju od Turków i wbijał słupy w limany Dniestrowe, i pędził daleko za Dniepr carskich wojewodów, można, tylko wykreśliwszy z pamięci klęskę bukowińską Olbrachta i pogrom Aleksandra. Daleko nam było w roku 1515 do militarnej potęgi Franciszka I Walezjusza, a przecież i on, gdy sięgał za granice narodowe Francji, to w walce z samymi tylko Habsburgami przegrywał". Znakomicie powiedziane! Polityka francuska osiągnęła dobre rezultaty we wszystkim, co dotyczyło samej Francji. Wojny włoskie Walezjuszy to było pierwsze od czasów wypraw krzyżowych wyjście sił francuskich poza naturalne granice Galii. Francuzi powrócili z za Alp ze skórą tęgo wytatarowaną.

Do słów Władysława Konopczyńskiego dodałbym jednak coś niecoś. O pomyślnym rozwiązaniu wszystkich

wspomnianych problemów polsko_litewskich w ogóle roić nie można było. Już Jan Olbracht i Aleksander stali właściwie wobec zadań niewykonalnych. Od czasów Kazimierza Jagiellończyka ambicje dynastyczne beznadziejnie rozděły program państwa. Do ogromu problematyki stworzonej przez unię beztrosko dorzuciły nowe ciężary. Objęcie przez Jagiellonów tronów Czech i Węgier przyniosło skutki katastrofalne.

Powrócę do tego samego tragicznego tematu w książce "Rzeczpospolita Obojga Narodów", która stanowić ma trzecią część cyklu poświęconego dziejom Polski. Przyjdzie mi mówić o tym, jak skierowane na południe żądze dynastyczne Jagiellonów ustąpiły miejsca północnym

ciągotom Wazów, Jagiellonów po kądzieli. Wspomnę o radzie niepołomickiej, o której krążyły po kraju fantastyczne pogłoski, lecz nikt nie wiedział nic pewnego. Król polski Zygmunt III zaprosił bowiem na posiedzenie wyłącznie Niemców. Napiszę o głośnym żądaniu przestrzegania tolerancji religijnej oraz o otaczających króla jezuitach. Polityka królewska poszła w służbę wojującego katolicyzmu, do białości jątrząc prawosławnych obywateli Rzeczypospolitej.

"Pana za łeb wodzą, a czeladź milczy, ja bym takiego parobka nie trzymał" - mówił na sejmie 1605 roku Jan Ostroróg, kasztelan poznański, prawnuk pisarza. Zachwygam się tą niezrównaną staropolską dobitnością wysłowienia - gospodarską swobodą obrazowania. Tak się wyrażać potrafią tylko ludzie wyprani z zahamowań i kompleksów, umiejący być sobą i

dumni z tego. Słowa Ostroroga toż to styl Jana Chryzostoma Paska, znakomitego pisarza Jana III... i Henryka Sienkiewicza. Podczas tej samej sesji sejmowej hetman polny koronny Stanisław Żółkiewski słaWił szacunek świadczony przez Rzeczpospolitą jej monarchom: "W inszych narodach pany swe kozikami kola, a u nas z łaski Bożej nigdy nic takowego przeciwko panu nie było zmyślono... gdyż zawsze ten cny naród polski wiary panom swym dotrzymywać i onych miłować zwykł".

Jan Ostroróg nie zaliczał się ani do opozycji, ani do dworaków. Był niezależny. Słowami, które przytoczyłem, popierał politykę Zygmunta III dążącego do odzyskania tronu Szwecji. Dobrze kasztelan powiedział - wodzono Zygmunta za łeb. Szwedzi zdetronizowali go, wynieśli do władzy jego stryja, Karola. W roku 1598 wzięli

polskiego pomazańca do niewoli. By odzyskać wolność, musiał Zygmunt wydać swych skandynawskich stronników, których w Sztokholmie ścięto publicznie. Estonię przyrzekł Rzeczypospolitej w roku 1587, podczas koronacji. Oddał w roku 1600, kiedy ją Szwedzi zajęli. A teraz Ostroróg wywoził: "Bo albo było pana ze Szwecji nie brać i panem go nie czynić, albo go wynieśćszy tak wysoce... w przeciwnych wypadkach nie odbiegać".

Pomimo wszystko - Rzeczpospolita była monarchią. Istniało poczucie zobowiązania moralnego wobec pana.

Senatorowie otrzymywali w Inflantach dobra i rozmaite godności, można więc ich posądzać o obronę własnych interesów. Ale pospółstwo

szlacheckie na kasztelanie nie liczyło, było za to potężnie znużone wojną. Sejmiki na ogół opowiedziały się za programem walki o koronę szwedzką dla Zygmunta. Żądały tylko, aby Jego Królewska Mość raczył kraju nie opuszczać i nie wyjeżdżać na stałe za morze. A dwór snuł takie właśnie zamiary. Te same sejmiki protestowały przeciwko aferze "Dymitraszki". Tymczasem Zygmunt III poparł Samozwańca, wtedy już katolika. Rachował, że Dymitr, utwierdziwszy się w Moskwie, pomoże mu w Szwecji. Z tego samego powodu poczynił zgubne ustępstwa Hohenzollernom w Prusach Książęcych.

Na wszystko to patrzył ogół, świętujący akurat jubileusz. Ruch reformatorski narodził się wśród szlachty równo przed stu laty i niemal przez cały ten czas był lekceważony, sabotowany, marnowany. Pomysły Zygmunta III, dotyczące zmiany ustroju, nie mogły wzbudzić zachwytu. Zakładały, że król wyjedzie do Szwecji, a absolutystycznie rządzoną Polskę

obejmie arcyksiążę austriacki, jako gubernator. Niewielu było na to w kraju amatorów, co jednak nie tylko źle o nim świadczy. Parlamentaryzm polski wymagał naprawy, lecz nie kasowania izby poselskiej, czego Zygmunt pragnął.

Na sejmie 1605 roku po raz ostatni w życiu przemówił Jan Zamoyski, daremnie podając królowi rękę w imieniu całej opozycji: "Miłuję, dalibóg, Waszą Królewską Mość i służę wiernie i po wtóre mówię, wiernie służę; racz tylko Wasza Królewska Mość miłować też nas, poddane swe: łącność będzie o pieniądze, łącno o pomnożenie państw, snadnoć przyjdzie

wszystko, gdy miłość poddanych
będzie. Uczynisz tu Wasza
Królewska Mość z Polaka
Aleksandra, z Litwina Herkulesa;
miłości tylko potrzeba, bez tej
trudno co począć".

Nie bierzmy za pustą retorykę
słów kanclerza i hetmana, który
mowę swą "z płaczem wielkim,
stojąc zakończył". O wzajemne
zaufanie, o dowody życzliwości
monarchy ku poddanym wołał ten
sam człowiek, który w 1587 roku
wprowadził Zygmunta na Wawel,
pokonał pod Byczyną jego wroga,
arcyksięcia Maksymiliana, a w
pięć lat później musiał grać
główną rolę na "sejmie
inkwizycyjnym". Rozpatrywano
wtedy mściwe doniesienie tegoż
Maksymiliana, oskarżające
Zygmunta III o chęć odstąpienia
cichcem korony polskiej
arcyksięciu Ernestowi. Król nie
zdołał się całkiem oczyścić z
zarzutów. Potajemne knowania
były faktem. Dotyczą innych
spraw, trwały i później. Po
całej Rzeczypospolitej krążyły o
nich "rumory". Staje się jasne,
co w tych okolicznościach
znaczyły słowa kanclerza: "racz
tylko Wasza Królewska Mość
miłować i nas, poddane swe".

W kwietniu 1606 roku, kiedy

Zamoyskiemu niewiele już dni
życia zostawało, a w kraju
zanosiło się na wojnę domową,
jakiś nieznany statysta
opracował pismo polityczne.
Autor nie należał do żadnej
koterii. Utwór swój zatytułował
w sposób znamienny: "Rzeczy
naprawy potrzebujące abo
sejmikiem abo rokoshem w
Rzpltej". Wśród wielu postulatów
znalazł się i taki, co
bezceremonialnie streszczając
słowa Zamoyskiego, trafiał w
samo sedno najważniejszej
sprawy: "Poprzeć tego, cochmy

już i dawno konstytucją sobie obwarowali, aby Król Jego Mość narodem naszym się kontentował".

Inaczej mówiąc, by panując w Rzeczypospolitej, dbał o nią i o nic więcej.

Anonimowy statysta trafnie przewidział. Doszło w Polsce do rokoshu, nazwanego imieniem Mikołaja Zebrzydowskiego. Za Zygmunta III ruch reformatorski wykoleił się. Można się jednemu tylko dziwić. Że doszło do tego tak późno. Przez długi czas szlachta wykazywała więcej powściągliwości, niż wolno oczekiwać od ludzi żyjących w podobnych okolicznościach.

Nie wszyscy ówczesni rokoshanie zasługują na jednakowe potępienie. W samym tym odruchu były elementy zdrowe. Dowiódł tego ostatnio Jarema Maciszewski w cennej książce "Wojna domowa w Polsce (1606_#1609)". Ale nie da się zaprzeczyć, że weszliśmy wtedy na drogę gwałtownymi zakosami wiodącą coraz to niżej, niżej i niżej. Aż do Olkienik.

Skoro się o nich ponownie wspomniało, wypada dodać jeszcze to i owo. Czynię to zresztą pod istnym przymusem psychicznym. Świeże wrażenie nie pozwala na pominięcie tematu. Mnóstwo dzieł architektury poniszczyły u nas wojny. Uczmyż się historii tym pilniej, oglądając to, co

szczęśliwie ocalało, stoi na powierzchni naszej ziemi i świadczy.

Piszę w kwietniu 1963 roku. W marcu Biblioteka Powiatowa w Grajewie zaprosiła mnie na "wieczory" tudzież "południa" autorskie. Przy pięknej i mroźnej pogodzie pojechaliśmy do Szczuczyna (zabrakło czasu na odwiedzin Wąsoszy, gdzie w podziemiach kościoła spoczywają

zwłoki imć Rzędziana).

Obywatele Szczuczyna zamierzali podobno wznieść u siebie pomnik Henryka Sienkiewicza. Miasto ich wspomniane jest bowiem w "Potopie" jako miejsce postoju chorągwi laudańskiej. Z projektu zrezygnowano, ponieważ Sienkiewiczowska wzmianka do obszernych i zbyt pochlebnych nie należy: "Ów Szczuczyn uchodził za miasto, ale nim nie był rzeczywiście, nie miał bowiem jeszcze ani wałów, ani ratusza, ani sądów, ani kolegium pijarskiego, które dopiero za czasów króla Jana III powstało, a domów szczupło i więcej chałup niż domów, które tylko dlatego miastem się zwały, że w kwadrat były pobudowane tworząc rynek, niewiele zresztą mniej błotnisty od stawu, nad którym mieścina leżała".

W tym wypadku Sienkiewicz był ścisły. Szczuczyn został miastem dopiero w roku 1692.

Rynek tam bardzo obszerny, wytyczony w prostokąt czy w kwadrat. Od niedawna środek jego zajmują zieleńce, targ przeniesiono na inne miejsce. Od rynku szeroka, lejkowato rozchylająca się ulica celuje w sam środek wyniosłości, podługowatego wzgórza ograniczającego miasteczko niczym naturalny wał. Grzbiet wzniesienia zajmują budowle. Jest to jeden zwarty zespół gmachów, zwróconych frontem ku śródmieściu. Pośrodku kościół

zupełnie, do złudzenia podobny do tego, który stoi w Warszawie przy ulicy Miodowej, jako votum dziękczynne za zwycięstwo pod Wiedniem. Tylko ten szczuczyński sprawia znacznie silniejsze wrażenie. Wznosi się wysoko, góruje nad miastem, okolicą i

odczuciami przechodnia. Wymowę głównego akordu wspierają dwa idealnie z nim zharmonizowane tony dodatkowe.

Z obu boków świątyni wyrastają symetryczne skrzydła, piętrowe gmachy klasztorne. Ich bliźniacze wieże wieńczyły kompozycję. Użyłem czasu przeszłego, bo historia oszczędziła tylko jedną. Kaleki bastion drugiej czeka na odbudowę.

Obywatele Szczuczyna mieli ongi po drugiej stronie swego miasta jeszcze jeden architektoniczny zwornik panoramy. Był nim zamek, od dawna już nie istniejący.

Szczuczyn to samiuteńkie pogranicze Korony i Wielkiego Księstwa Litewskiego. Nie chce się wprost wierzyć, że w tej zapadłej stronie mogło u schyłku XVII wieku wyrosnąć takie "założenie urbanistyczne". Twórcą i dobrodziejem miasta był Stanisław Antoni Szczuka, jeden z najrozumnijszych i najlepszych ludzi epoki, działacz i pisarz polityczny, podskarbi litewski. Ufundował w Szczuczynie konwikt dla dziewcząt. Pierwszy w Polsce!

Szczuczyn stał się dla mnie rewelacją. Bo inna rzecz teoretycznie wiedzieć, inna zobaczyć. To, co przetrwało w Szczuczynie, stanowi przejmującą pamiątkę z czasów, których treścią było dźwiganie się z ruin, leczenie ran.

Podczas drugiej wojny światowej kraj nasz stracił dwadzieścia dwa procent ludności. Wiemy o tym i podkreślamy, że Jugosławia,

zajmująca drugie miejsce na światowej liście poszkodowanych, utraciła przeszło połowę mniej. Przypomnienie o tym pomoże

zrozumieć wymowę faktu, że doba "Ogniem i mieczem" oraz "Potopu" kosztowała Rzeczpospolitą co najmniej trzydzieści trzy procent poprzedniego stanu zaludnienia. Obliczenie jest bardzo ostrożne. Są historycy, którzy podnoszą ów odsetek do czterdziestu, nawet do pięćdziesięciu. W takiej Wielkopolsce zresztą zaludnienie wsi zmniejszyło się o przeszło połowę.

Przedostatnie zdanie "Ogniem i mieczem" zawiera najściślejszą prawdę historyczną: "Wilcy wyli na zgliszczach dawnych miast i kwitnące niegdyś kraje były jakby wielki grobowiec".

Nie zapomnijmy tylko, że ówczesnej odbudowie nie służyła żadna nowa technika. Za Michała Korybuta i Jana III używano takich samych łopat, kielni i wiader, jak za Władysława IV. Było ich tylko odpowiednio mniej. To, co do dni naszych przetrwało w Szczuczynie, poucza, że kraj się naprawdę dźwigał, zaczynał stawać na nogi. Aby tak uplanować miasteczko, trzeba było kultury, wzrostu potrzeb i wymagań. Same środki materialne nie tłumaczą podobnych dokonań.

Data, z której pochodzą szczuczyńskie wspaniałości, jest tragiczna. Rok 1692. Jeszcze osiem lat i kraj miała znowu ogarnąć wojna. Ta właśnie, której akt wstępny popchnął zwaśnione obozy litewskie pod Olkieniki. Historia zowie ją "wielką wojną północną". Straty, jakie przyniosła Rzeczypospolitej, były mniej więcej równe tym, których przyczynił "potop". Ucierpiały wszystkie prowincje państwa. Wszędzie srożyło się morowe powietrze, idące w ślad za

wojną. Żadne z miast północnej i środkowej polaci kraju nie wyszło obronną ręką. Szwedzi spalili i Lesko, położone na podgórzu bieszczadzkiem. Nie tylko do Krakowa doszli więc na południu. Ludzie, którzy jako tako ochłonęli po "potopie", ponownie zdziczeli.

Odpowiedzialność za uknowanie wojny i wplątanie w nią Rzeczypospolitej spada na króla Augusta II. Kraj tego wszystkiego nie chciał. Jego dobro wymagało pokoju, pokoju i jeszcze raz pokoju. Ludzie politycznie myślący zdawali sobie sprawę, że Szwecja przestała być prawdziwym przeciwnikiem, że znacznie groźniejszy jest car. August II poszedł z Piotrem Wielkim przeciwko Karolowi XII. Spodziewał się łatwego rozbioru posiadłości szwedzkich i znacznych korzyści dynastycznych. Prywatnych po prostu. Nie osiągnął ich. Z wojny północnej Rosja wyszła wielką potęgą. Rzeczpospolita zapłaciła ruiną, wyludnieniem i własną suwerennością. Z narzuconego wtedy protektoratu carskiego już się wywinąć nie zdołała.

Swojego czasu okoliczności zmusiły Jana III do podjęcia decydującej walki z Turkami. Król rozegrał sprawę na terytorium austriackim (dokąd nie tylko on przyszedł z pomocą, gdyż uczynili to również zatrwożeni o swą przyszłość Bawarzy i Sasi). Zużył pieniądze przede wszystkim papieskie i cesarskie, polskich mało. Pokonał wroga, zapobiegł przemianie granicy południowej w jeden straszny front, zdobył dla kraju opinię czynnika nadal wojskowo wartościowego. Świeżą sławą osłonił niejako słabość Rzeczypospolitej. Jana III, który działał w oczywistym interesie państwa, potępia się

za romantyzm. Zapomina się o Augustynie II.

U schyłku XVII wieku istniała nadzieja poprawy i przetrwania. W ostateczne nieszczęście wpełchnął nas człowiek, który rządził krajem legalnie, ale był mu najzupełniej obcy. Jego nieprzytomna inicjatywa stała się bodźcem dla oszalałych warchołów spod Olkienik. Władysław Konopczyński miał słuszność. Władza obca narodowi pod względem moralnym i politycznym, z dobrem kraju się nie licząca, obojętna wobec jego cierpień, w pogoni za zyskami bezwstydną - taka władza jedno tylko musiała osiągnąć. Znieprawiała obywateli. Ryba od głowy cuchnie. Znowu przysłowie ludowe.

August II to dno naszej historii. Bo za jego syna i następcy, Augusta III, zaczęła się poprawa, bez najmniejszej oczywiście pomocy i zasługi ze strony króla. Ale przyznajmy, że już grubo wcześniej, w epoce piastowskiej w ogóle, wielu władców Rzeczypospolitej nie chciało "narodem naszym się kontentować". W ich politycznych rachubach Polska stanowiła niekiedy tylko czynnik, zamiast być podmiotem i celem. Taki stan rzeczy wytwarzał klimat moralny nie sprzyjający reformie. Zaufanie do rządzących jest budulcem niematerialnym, lecz niezastąpionym.

Należy podsumować wywody tego rozdziału.

Najwięcej poczucia karności wobec państwa było u nas zawsze tam, gdzie najbardziej tłoczno. Wśród ludu, drobiazgu szlacheckiego i małych ziemian. Bo znaczniejsi łatwiej się zarażali od magnatów. Ci ostatni zachowywali się normalnie - jak na ich sytuację społeczną. Dokładnie według wzorów znanych

z postępowania arystokracji w
innych, znacznie szczęśliwszych

krajach. Jedno tylko - być może
- wyróżniało nasze królestwa.
Magnateria Rzeczypospolitej
zdawała sobie sprawę, że źle się
dzieje w państwie. Znała słabość
jego struktury. Struchlała,
kiedy podczas wojny kozackiej
rozpalił się na nowo odwieczny
front moskiewskiej, a w
perspektywie zarysowała się
groźba szwedzkiej. Studia
Władysława Czaplińskiego
przekonały mnie całkowicie.
Wielcy panowie trafnie widzieli
schorzenia systemu. Magnat pisał
satyry, piętnował bezrząd,
anarchię, prywatę, rwał włosy z
głowy oraz sejmy, sejmiki,
warcholił, maćił, kopał grób
państwu, zdradzał je w chwili
grozy.

Wynika stąd wniosek, który
śmiało można podnieść do
godności prawa historii.
Człowiek jest bezbronny wobec
własnego przywileju. Samo
istnienie przywilejów jest złem.
Lecz brak kontroli nad
uprzywilejowanymi, kontroli
niezależnej od nich, musi
doprowadzić do anarchii i
katastrofy.

Władza państwowa
Rzeczypospolitej za długo brała
stronę wielkich przeciwko małym.
I zbyt już często dbała bardziej
o własne doktryny i ambicje niż
o kraj.

W stronę Ciemnogrodu

Na przełomie XVI i XVII w.
dokonały się w Polsce dwie
metamorfozy. Obie były fatalne.
Skutki ich zdobyły nam na
świecie opinię politycznych
warcholów i fanatyków
religijnych. Aż do ostatnich
czasów chadzaliśmy w tej

osobliwej glorii. Dopiero rok 1956 przekonał Europę, że Polacy też potrafią zachowywać się trzeźwo, panować nad odruchami i działać solidarnie. Ale druga połowa "prawdy" nadal trwa.

Przestudiujmy tylko uważnie reportaże z Polski, publikowane niekiedy przez dobre gazety, jak paryski "Le Monde". Autorzy ich uważają widać, że takie rzeczy jak swoboda myśli i kultury nie interesują Polaków. Kwestie wyznaniowe - tylko to pochłania bez reszty uwagę ducha lechickiego, zaspokaja jego głód "nadwyżki".

W znacznej mierze - Polacy sami sobie winni. Nasi cnotliwi ultramontanie potrafili grubo przekraczać granice śmieszności, ogłaszając na przykład pewne powodzenie wojskowe za cud w postaci czystej. Za propagandę pewnego typu drogo się płaci. Za ciasnotę horyzontów także. Niedawno temu, w jednym z najsławniejszych miast polskich, zdumiała mnie opinia pewnego pana, posiadającego zresztą wyższe wykształcenie. Wygłosiłem odczyt o Polsce Jagiellonów. Ów pan powiedział podczas dyskusji, że nie warto w ogóle rozpatrywać sprawy unii z punktu widzenia dobra Polski. Jego zdaniem ważne jest tylko to, że unia "zanosła zbawienie" daleko na wschód kontynentu. - Tak całkiem, jakby nie liczyło się chrześcijaństwo osiemdziesięciu procent zaludnienia Wielkiego Księstwa Litewskiego. Chrześcijaństwo prawosławne...

Mam przed sobą książkę, wydana w roku 1947 w Londynie. Nie przytaczam tytułu, taję nazwisko autora, bo żal krzywdzić człowieka. Jakże dziś, po rozpoczęciu II Soboru Watykańskiego i pontyfikacie

Jana XXIII, wyglądają katolicy, którzy nigdy dawniej nie pomyśleli o jedności moralnej wszystkich chrześcijan (a nawet o jedności moralnej w jeszcze szerszym zakresie)? Muszę tylko przytoczyć fragment, wiążący się z wywodami poprzedniego rozdziału:

"Polska z okresu bezpośrednio

pojagiellońskiego zdobyła się na łańcuch dzieł i wysiłków, których zakres jest imponujący. Otrząsnęła się i odrodziła - w Koronie i na Litwie - sama, z kraju na pół już zdobytego przez reformację stała się z powrotem krajem katolickim. Poczwała się odpowiedzialna za kraje ościenne. Postawiła sobie ambitne zadanie uratowania dla katolicyzmu głównego kraju skandynawskiego, jakim była Szwecja, a zarazem przeszkodzenia temu, by kraj ten stał się domeną wpływów duchowych niemieckich i ośrodkiem akcji, która dopomoże Niemcom do tego, by Polskę powalić; przez długie lata Polska nie tylko wspierała wysiłki katolików szwedzkich, pragnących ratować swój kraj przed zalewem reformacji, ale i sama wielkie wysiłki wkładała w to, by wyprzeć stamtąd wpływy duchowe niemieckie... gdy wysiłki te się załamały - Polska stała się miejscem schronienia szwedzkiej, katolickiej emigracji i podjęła się zadania przechowania tradycji szwedzkiego, katolickiego kościoła; aż po czasy obecne, dzień 6 września - obchodzony w Polsce jako święto Świętych Królestwa Szwedzkiego - jest pamiątką tych związków, jakie w dobie kontrreformacji łączyły Polskę z katolicyzmem szwedzkim..."

Król Zygmunt III, nieustępliwy
bojownik o katolicyzm szwedzki,
chętniej mówił po niemiecku niż
po polsku, stale spiskował z
Niemcami. Jego wychowany przez
Niemkę syn, Władysław IV,
Polaków nie lubił, wolał
Niemców. Gustaw Adolf szwedzki,
przywódca europejskiego
protestantyzmu, za pieniądze
zdarte z katolickiej Polski
pustoszył Niemcy. Zapomnijmy o
tych psujących bogoojczyźnianą
perspektywę szczegółach. Cieszymy

się dniem 6 września. Zapomnijmy
również o zrujnowanej przez
Szwedów Polsce. Niech nam
wystarczy, że polscy królowie
usiłowali zapobiec tryumfowi
szatana w kraju, który do dziś
tonie w błędach kacerskich i
słynie z uczciwości.

Wątpię, czy jakiegokolwiek
piśmiennictwo w Europie może się
pochlubić równie nieprzytomnym
wywodem, jak przytoczony przed
chwilą. Autor jego już przed
wojną zdobył sobie rozgłos
myśliciela politycznego.

Aby odetchnąć lepszą atmosferą
intelektualną, sięgam po tekst
omszały, liczący sobie trzy i
pół wieku z okładem. Tytuł jego
brzmi: "Jezuitom i inszym
duchownym respons". Nazwisko
autora nie znane.

"Ale słuchajcie wy jedno, co
ja wam powiem. Starzy przodkowie
naszy, choć katolicy i
prawdziwie nabożni byli, choć
fidem Catholicam sancte
coluerunt... wiedząc, że
szlachciami pierwsi niż
katolikami porodzili się,
wiedząc, że nie są de tribu
Levi, wiedząc, że królestwo
polskie nie jest regnum
sacerdotale, ale regnum
politicum, wiedząc, że królestwa
i państwa tego świata hospitia
są, a nie hereditas kościoła

Bożego, wiedząc, co Panu Bogu, a
co ojczyźnie powinni, to
sprawiedliwie, jako na wadze, na
obie oddawali stronie, religiej
świętej z policyą nie mieszali,
nie gmatwali nigdy... Był senat
poważny i mądry, z tych i z
owych (tj. z katolików i
protestantów) zarówno
pomieszany; był dwór króla
wielkiego... z różnej religiej
ludzi zebrany, ozdobny i
znaczny. Bywali posłowie na
sejm... i z tych i z owych
obierani, a na sejmie w sprawach
Rzeczypospolitej zgodni i
sforni, i sejmy za
błogosławieństwem Pańskim

dochodziły zawždy ani tak, jako
teraz, rozrywane bywały... Ale
to dopiero nie tak podziwienia,
jako wiecznej pochwały godno, że
dawni oni stanu duchownego
przedni i wszyscy antistites tak
w umyśle swym umoderowani byli,
jednako ze stanem świeckim w tym
się zgadzając, że nie tylko nic
przeciw rozróżnionym w wierze
ostrego nie poczynali, ale ani
zamyślali, owszem spółki i
przyjaźnie wielkie z nimi
miewali i statecznie
zachowywali..."

Można zaliczyć te słowa do
łabędzich śpiewów polskiego
wolnomyślicielstwa. Napisano je
pod koniec 1606 lub na początku
1607 roku. Sami zresztą
słyszeliśmy - autor wysławia
przeszłość. Jego "król wielki"
to Zygmunt August, który w tej
sprawie naprawdę zasługuje na
szacunek. Tolerancji
przestrzegał sam, ale jej
zabezpieczyć na przyszłość
zaniedbał.

Przytoczę jeszcze jedno zdanie
z rozprawy tegoż autora i na
jego odpowiedzialność, bo
zdarzenie wydaje się wręcz
nieprawdopodobne.

"Uchański, arcybiskup
gnieźnieński, veteranus
ecclesiae Romanae pugil i
katolik prawy, jednak non sine
sale sapientiae, tak wielce na
zuchwałego i niesłusznie
rozzniewanego papieża
zwierzchność oglądał się, że gdy
papież w Rzymie przeklinał go i
malowanego nawet palić kazał,
toż wszystko nasz prymas, nasz
Sarmata transmontanus, nad Ojcem
Świętym w Łowiczu aboli w
Gnieźnie wyprawował publice".

Piękny, przez Jana
Michałowicza z Urzędowa
wyrzeźbiony nagrobek Jakuba
Uchańskiego można obejrzyć w
kolegiacie łowickiej. Jeśli nie
znany autor opowiedział nam
prawdę, największy nawet
dzisiejszy libertyn przyzna, że

ksiądz prymas - pierwszy polski
interrex! - stanowczo za dużo
sobie pozwalał.

Jakub Uchański przeżył
Zygmunta Augusta o dziewięć lat.
Kiedy prymasem był jego
poprzednik, Dzierzgowski,
przytrafił się w Polsce
następujący wypadek. Rozgłoszono,
że Żydzi z Sochaczewa mieli
namówić niejaką Dorotę Łażęcką
do kradzieży i wydania im
hostii, którą następnie kłuli
szpilkami, a wyciekającą krew
zużyli na macę. Naciśnięty przez
nuncjusza Alojzego Lippomano,
Dzierzgowski kazał zwięzić i
sądzić obwinionych. Zapadł wyrok
śmierci na kobietę i jednego z
Żydów. Innego zatrzymano w
więzieniu. Starosta
sochaczewski, któremu wydano
skazanych, natychmiast spalił
ich na stosie. Działał zresztą
zgodnie z obowiązującym prawem.
Rzecz nabrała rozgłosu i zamiast
sprowokować pogrom, wzbudziła
wielkie oburzenie na nuncjusza,
którego i przedtem nie cierpiano

w Polsce. Lippomano twierdził, że życiu jego zagroziło poważne niebezpieczeństwo. Zygmunt August przysłał z Mejszagoły kategoriyczny rozkaz: więzionych Żydów wypuścić, sprawę rozpatrzyć, winnych ukarać. Nie mógł przecież orzec na ślepo, że winnych nie ma (i nie wiadomo, kogo on w tym wypadku do winnych zaliczał). Ale w rozmowie z nuncjuszem powiedział podobno, że nie jest tak głupi, by uwierzyć, iż z pokłutej hostii krew pociecze.

We wrześniu tegoż 1556 roku, podczas synodu w Łowiczu, doszło do gwałtownego sporu między nuncjuszem a biskupami polskimi i przedstawicielami kapituł. Hierarchia krajowa okazała się solidarna. Chciała obradować jako odrębna jednostka i dopiero zbiorowe swe postanowienia uzgadniać z reprezentantem papieża. Nuncjusz nie ustąpił i

sprzeczne z prawowiernością katolicką żądanie odrzucił.

Powtarzam raz jeszcze moja zasadniczą tezę. Byłoby niesłuszne oskarżać ówczesnych Polaków o szczególniejsze zamiłowanie do anarchii politycznej. W tej mierze nagrzeszono u nas na pewno nie więcej niż w innych monarchiach Europy, a mocno podobne do prawdy, że mniej. Lecz jeśli spojrzeć na Polskę z punktu widzenia Rzymu papieskiego, trzeba ją będzie uznać za kraj rozkwitającego siebiepaństwa.

Na wielu zabytkach sztuki polskiej Złotego Wieku widnieją postacie św. Stanisława i wskrzeszonego przezeń Piotrowina. Można je zobaczyć na tryptyku Czartoryskich, obok podobizny Jana Olbrachta, na ornacie Piotra Kmity. Najciekawsze chyba, że figurują

one również na świetnym "mosiądzowym grobie" Fryderyka Jagiellończyka. Ten syn i brat królewski, biskup, kardynał i prymas, tym się między innymi odznaczył, że oddał skarbowi koronnemu sumy zebrane w Polsce na wielki jubileusz Kościoła w roku 1500 i przeznaczone dla Rzymu. Zabiegi pedagogiczne jakoś wtedy nie odnosiły skutku. Natrętne przypominanie o wydarzeniu, narzuconym polskiemu średniowieczu za symbol, okazywało się bezskuteczne. I święty, i podniesiony przezeń z grobu świadek występują na owych zabytkach jako motyw kolorytu lokalnego. Nikt poważny nie traktował chyba wtedy na serio tezy kronikarskiej, że utrata korony była słuszną karą Niebios za postępek króla Bolesława Śmiałego. Dopiero w XIX stuleciu - za czasów Karola Darwina - stworzono u nas teorię, że ostateczna katastrofa spadła na Polskę, ponieważ królowie jej, August II Mocny oraz Stanisław August, zgrzeszyli, nie

odwiedziwszy po koronacji Skałki.

Nie wdawajmy się w rozważania o początkach naszych dziejów, bo nie różnią się one od średniowiecza powszechnego. Nasi najwybitniejsi władcy chadzali obłożeni kłatwami. Wiek XV, przedproże doby nowej, kategorycznie przeczy opinii o Polsce "zawsze wiernej". Traktat Ostroroga stroni od subtelności dogmatycznych, broni za to polskiej niezależności od Rzymu w sposób jednak chyba heretycki. A już co najmniej - wyjątkowo bezceremonialny i zuchwały. Profesor Leszek Kołakowski, który powiedział kiedyś w Klubie Krzywego Koła, że po zgonie Piusa XII nastąpiła "depacellizacja Watykanu", w

porównaniu z panem wojewoda
reprezentuje szczyty kurtuazji.

Przypomnę teraz znowu niektóre
fakty charakterystyczne dla
naszego Złotego Wieku.

W marcu 1540 roku specjalna
komisja królewska sporządziła
protokół z doniesienia Bernarda
Pretwicza. Sławny rycerz
kresowy, Ślązak z pochodzenia,
był wtedy ranny, i wolno
przypuszczać, że obawa przed
możliwością zgonu rozwiązała
mu język. Opowiedział o spisku
uknutym przez Marcina
Zborowskiego, który od paru lat
znajdował się w niełasce dworu.
Ogółem sprzysiężonych było około
siedmiuset, samych Wielkopolan.
Hasłem do działania miała się
dla nich stać wiadomość o
śmierci Zygmunta Starego, której
się spodziewano rychło. Plan
akcji wyglądał dość prosto.
Spiskowcy występują orężnie ("a
który by pan z nimi nie chciał
być, tedy go o gardło mieli
przyprawić"). Od ukoronowanego
już dawno Zygmunta Augusta
żądata dwóch rzeczy. Przede
wszystkim ponownego
zaprzysiężenia przywilejów
stanowych. Po drugie
przyrzeczenia, że skonfiskuje

klerowi jedną trzecią majątności
kościelnych i obróci ją na
potrzeby wojskowe państwa.
"Gdzieby to Król Jego Mość młody
wszystko to im postąpił i
uczynił, toż dopiero znowu mieli
go za pana wziąć, to dopiero
Królowi Jego Mości mieliby
wszystko postąpić, o co by ich
żądał. Gdzieby Król Jego Mość
tego uczynić nie chciał, tedyby
go za pana mieć nie chcieli".

mówię szczerze. Żałuję tego
tylko, że podobnego zamachu
stanu nigdy u nas nie było. Dwór
silny, rozporządzający wojskiem,
mógłby pewnie zatroszczyć się z

czasem i o ukrócenie przywilejów szlachty. Sama logika rzeczy do tego by pchała. Najważniejszy jest punkt oparcia, odskocznia materialna. Nie potrafię też potępiać za anarchię narodu, w którego łonie rodziły się takie spiski. W Niemczech ówczesnych poszczególni książęta Rzeszy i rycerze brali dobra kościelne bez ceremonii, lecz dla siebie, nie dla cesarza. U nas szlachta chciała ulżyć sobie w podatkach, dając skarbowi inne źródła dochodu, majątek "martwej ręki". Zresztą część zaledwie "dzierżenia" kleru. Nie najgorzej jeszcze. Wcale nie najgorzej. Rzeczpospolita posiadłości kościelnych nie ruszyła. Zaborcy brali je później bez skrupułów.

Z papieskiego punktu widzenia pomysł sprzysiężonych zasługiwał na anatemę. Zgodnie z obowiązującym prawem proboszcz mógł wtedy wykląć dziedzica, opieszalego w oddawaniu dziesięcin. Władze świeckie musiały wykonywać wyroki trybunałów duchownych. W rzeczach dotyczących Kościoła Marcin Zborowski szedł przeciw prawu usankcjonowanemu dodatkowo powagą wiary.

W ćwierć wieku później dworzanin nuncjusza, niejaki Paweł Emil Giovanini, spisał swe

uwagi o Polsce. Przytaczam ich fragment w streszczeniu dokonany przez Wincentego Zakrzewskiego: "Gdy jest mowa o dogmatach wiary, świętych Sakramentach, o zachowaniu starożytnych obrzędów i ceremonii, o unikaniu nowości i zmian w stanach państw, o niełamaniu spokojności i pokoju publicznego, to wielu katolików chętnie słucho i pochwała takie mowy. W senacie i na sejmikach,

gdy mowa o zachowaniu przywilejów i jurysdykcji stanu duchownego, żeby mógł wyrokować i wyklinać, a wyroki byłyby wykonywane jak dawniej, wtedy liczba katolików zawsze jest w znacznej mniejszości, a to z powodu powszechnej zawiści przeciw księżom, i ponieważ widzą, że ich trybunały są zarówno jak inne chciwe, sprzedajne i pełne złośliwości. Ale gdy w tychże samych miejscach duchowni stawiają opór nakładanym podatkom, chcą zatrzymać dawną wolność od nich, usiłują zwalić na świeckich cały ciężar potrzeb Rzeczypospolitej i wielkie krzyki robią o swoje dziesięciny, wówczas prawie nikt już nie jest katolikiem, takie obrzydzenie budzi chciwość duchowieństwa i tak znany jest niechwalebny sposób, w który zużywane bywają dobra kościoła".

Relacja, trzeba przypomnieć, pochodzi z kół nie tylko katolickich, ale rzymskich. Od Włocha wizytującego Polskę w orszaku takiego pioniera kontrreformacji jak nuncjusz Franciszek Commendone. Bystre uwagi Giovaniniego doskonale pasują do przytoczonej przed chwilą charakterystyki politycznych celów spisku Marcina Zborowskiego, jednakże nie wyczerpują tematu. Ogół polski patrzył wtedy z ukosa nie tylko na bogactwa, zachłanność i wątpliwe obyczaje kleru. Wypowiadał się śmiało w sprawach

najbardziej fundamentalnych. Giovanini, który pisał w roku 1565, musiał słyszeć o tym, że siedem lat wcześniej izba poselska jednomyślnie przyjęła projekt przyszłej elekcji (przyjęła tylko, bo uchwalić nie mogła; na to potrzebna była zgoda króla i senatu, której

zabrakło). Projekt wykluczał z elekcji biskupów rzymskokatolickich. Nie mogą uczestniczyć w obieraniu monarchy - argumentowano wśród powszechnej aprobaty posłów - bo przysięgają na wierność papieżowi rezydującemu w Rzymie. Muszą dbać bardziej o niego niż o Rzeczpospolitą. Przypomniano wypowiedź pewnego legata z XV wieku, który oświadczył, że niech lepiej zginie całe królestwo polskie, niżby władza papieska miała doznać najmniejszego uszczerbku.

Izba poselska sejmu walnego Korony Polskiej występowała zatem przeciwko podstawowemu dla katolików prawu posłuszeństwa. Ta izba chciała zresztą kościoła narodowego.

Piszę te słowa na parę dni przed wyborami do parlamentu włoskiego. Prasa światowa interesuje się nimi tym bardziej żywo, że pokażą one, w jaki sposób początek II Soboru Watykańskiego wpłynął na opinię polityczną kraju. Nikt nie wątpi, że wypowiedzi najwyższych czynników kościelnych wiążą sumienia katolików także i przy akcie głosowania. A przynajmniej, że są poważnie brane pod uwagę. Tak się dzieje w drugiej połowie XX wieku na zachodzie Europy. W Polsce za Zygmunta Augusta ogromna większość szlachty dochowała Kościołowi wierności. Na posłów zaś powoływała prawie samych protestantów. I to w jednych wyborach po drugich, przez dziesięciolecia całe.

Posłem był, jak wiadomo,

Mikołaj Rej z Nagłowic, który wyznawał kalwinizm i razu pewnego wdał się w sprawę godną uwagi, lecz wcale nie uznania. Podczas procesji Bożego Ciała w

Lublinie arianin Erazm
Otwinowski wyrwał księdzu
monstrancję, cisnął ją na ziemię
i podeptał. Król postąpił tak,
jakby musiał uczynić każdy
dzisiejszy trybunał
cywilizowanego państwa.
Zapowiedział karę. Sądził jednak
sejm, a bronił oskarżonego
Mikołaj Rej. Wywodził, że jeśli
nastąpiła obraza Stwórcy, to
niech On sam wymierza
sprawiedliwość. Otwinowskiego
zwolniono od odpowiedzialności.
Obrazy uczuć religijnych
większości obywateli pod uwagę
nie wzięto. No, ale skoro prymas
Uchański wcale się nie przejął i
nie rozgniewał...

Wszystko to - przestępstwo i
zadziwiająca rozprawa - odbyło
się w roku 1564.

W czterdzieści siedem lat
później pewien młody protestant
włoski Francus de Franco także
spróbował u nas wystąpić
przeciwko procesji Bożego Ciała,
którą uważał za bałwochwalstwo.
Było to w Wilnie, w obecności
nie lada person, bo królowej
Konstancji (z Habsburgów) i
królewicza Władysława. De Franco
ani myślał naśladować
Otwinowskiego, zachowywał się
kulturalnie. Stanął na stopniach
kościółka i zaczął przemawiać do
tłumu. Przekonywał, że nie
należy oddawać czci boskiej
opłatkowi. W parę tygodni potem,
to znaczy u schyłku czerwca 1611
roku, na rynku wileńskim kat
wydarł mu język, ciało
poćwiartował i zawiesił na
pręgierzu. Stało się to wczesnym
rankiem - wbrew ostatniej
prośbie skazańca, który chciał
być stracony w południe, na
oczach tłumu. Pomimo tortur de
Franco nie załamał się i aż do
końca zachował bezprzykładną

odwagę. Wyroku śmierci stanowczo

zażądała królowa. O to samo zabiegał Piotr Skarga. Protekcja kalwinów litewskich nie pomogła.

Franco był już we Włoszech więziony za herezję. Do nas trafił drogą przez Lipsk, gdzie zapoznał się z pewnym Polakiem, Piątkiewiczem. Musiał słyszeć o swobodach panujących w Rzeczypospolitej, które rozślawiły nasz kraj i postawiły go wysoko w opinii Europy.

Na przełomie XVI i XVII wieku wiele się jednak zmieniło w Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Na razie w tym oczywiście sensie, że przestała być ona państwem wyjątkowym. Dostroiła się do europejskiej normy, to znaczy częściej niż poprzednio zaczęła włączyć w krwawe bagno. W każdym kraju na kontynencie ukarano by wtedy za bluźnierstwo tak samo jak w Wilnie. W każdym, to jest zarówno w katolickim, jak w protestanckim, prawosławnym czy mahometańskim.

Kilka tygodni temu w jednym z liceów warszawskich spotkała mnie miła niespodzianka. Po prelekcji na tematy poruszane w tej książce, zabrał głos pewien uczeń i zapytał, jak właściwie wyjaśnić szybkość zmian w Polsce. W XVI stuleciu słyneśliśmy z tolerancji, w XVII wygnano od nas arian.

Kilkadziesiąt lat za ledwie, a przemiana na gorsze wręcz olbrzymia. Skąd się to wzięło? Jaka moc przeobraziła Polaków?

Młody człowiek dowiódł swej inteligencji. Spostrzegł zjawisko, które jakoś uchodzi uwadze ogółu. Oszałamiające tempo tego rozdziału historii.

Gdy tracono w Wilnie nieszczęsnego de Franco, pełno było ludzi doskonale pamiętających sprawę człowieka, który zbiegiem okoliczności nazywał się trochę podobnie - Chrystian Francken. Był to Niemiec o burzliwej przeszłości,

eks_jezuity i profesor uniwersytetu. Kiedy zjawił się w Polsce, której tolerancję rozślawiał drukiem, zaszedł już tak daleko w radykalizmie, że nawet nasi arianie nie podzielali jego zapatrywań. Francken był nonadorantystą, sprzeciwiał się oddawaniu czci boskiej Chrystusowi. W roku 1584 ogłosił na ten temat rozprawę i sprowokował gwałtowną polemikę. Szczególnie srożył się Jakub Górski, profesor akademii. W jego wystąpieniu nie zabrakło wołania o "miecz świecki". Francken ukrył się i uszedł z Polski. Do więzienia dostał się drukarz Aleksy Rodecki. Nie na długo zresztą. Król Stefan I był katolikiem z przekonania, nie tylko z metryki, ale Rodeckiego kazał wypuścić.

Zdaniem Stanisława Szczotki - "Zaginione dzieło Franckena stanowiło jeden z najśmielszych druków religijnych wieku XVI, jego zaś autor posiadał najbardziej krańcowe przekonania religijne w reformacyjnym okresie". Ogłoszono je w Polsce, w Krakowie, i nikt za to głową nie zapłacił. Francken osiedlił się później w Czechach czy też w Siedmiogrodzie i nie próbował nawet popisywać się tam radykalizmem poglądów. Rzeczpospolita i król Stefan I zdobyli wielki tytuł do chwały. Koniecznie trzeba dodać, że łaskę dla drukarza wyjednał Stanisław Taszycki.

Dwadzieścia siedem lat zaledwie dzieli sprawy Franckena i Francusa de Franco. Zmierzch Złotego Wieku był szybki.

Słabo zdajemy sobie sprawę z rozmiarów i charakteru natarcia, które jedni zowią kontrreformacją, inni reakcją katolicką. Nie całkiem pojmujemy, że ona dopiero zabarwiła nasze dzieje w sposób poprzednio całkiem nie znany.

Tradycje przewagi obskurantyzmu

są u nas płytkie. Głębiej niż w XVII stulecie nie sięgają.

Jeden z komentatorów francuskich powiedział niedawno temu, że II Sobór Watykański zamknął i zakończył czterysta lat trwający okres kontrreformacji. Podkreślam tę okoliczność, ponieważ zależy mi na spokojnej atmosferze rozmowy o drażliwych kwestiach. Inaczej nieco niż dawniej piszą dziś poważni autorzy katoliccy o winie oraz odpowiedzialności za schizmę i reformację. Nie przeczy się już, że dobra wola mogła występować i po stronie odszczepieńców, a grzechy obarczać także i prawowiernych. Jeśli tak jest, jeżeli okres kontrreformacji został bezpowrotnie zamknięty, to mój zdecydowanie ujemny sąd o niej nie może obrazić niczyich uczuć. Polemiki się spodziewam, ale to zupełnie inne zagadnienie.

Bywa, że wielcy tego padółu powiedzą: "pomyliliśmy się". Ale koszty, które zapłacili mali... pozostają ich własnymi kosztami.

Stanisław Mackiewicz pisze w "Stanisławie Auguście", że my, Polacy, "nie doceniamy naszego udziału w... reakcji katolickiej XVII wieku, w kontrreformacji XVII wieku. W ogóle ten wiek jest jeszcze nie odcyfrowany". I w innym miejscu tej samej książki: "Jestem dumny z tego, że Polska w kontrreformacji odegrała tak wielką rolę, która należycie dotychczas nie jest zrozumiana ani oceniona, a która przez nas samych z głupich względów propagandowych, dostosowania się do gustów panujących w XIX wieku, była wręcz pomniejszana lub ukrywana".

O pierwszych latach rządów Stanisława Augusta czytamy u

Mackiewicza, co następuje: "daje się odczuć wyraźnie, że ogół polski poświęci z łatwością króla nielubianego, pozwoli na zerwanie sejmu i na wyrządzenie

każdej szkody organizacji państwowej, ale nie ustąpi w jednej jedynej dziedzinie, to jest w sprawach religijnych. Upośledzenie prawne nie_katolików bronione jest u nas tylko wtedy daleko silniej, z daleko mocniejszą postawą moralną i przekonaniową, aniżeli wszystkie interesy państwowe razem wzięte".

Nie pojmuję, jak można zachwycać się rodzicem i gardzić nieodrodnym jego dziecięciem. Przecież kontrreformacja świadomie dążyła do podporządkowania patriotyzmu i względów państwowych wyznaniowym. Uwielbiany przez Stanisława Mackiewicza prąd osiągnął to właśnie, co zamierzył. Przynajmniej u nas.

Nasz udział w kontrreformacji, nasza w niej rola... Pierwszym przełożonym jezuitów polskich był Hiszpan, potem sami Włosi. Tak trwało przez lat czterdzieści trzy. W roku 1607 dokonano u nas reorganizacji zakonu, dzieląc go na prowincję polską oraz litewską. Do tej ostatniej zaliczono... Mazowsze wraz z Warszawą. Generał jezuitów nie uwzględnił żadnych protestów polskich. Struktura wewnętrzna Rzeczypospolitej, jej ustrój, historia, sama istota państwa Obojga Narodów - on stał ponad tym wszystkim. Dla sztabu kontrreformacji byliśmy przedmiotem i niczym więcej. Na tym polegał nasz "udział" i nasza "rola". Ofensywa kontrreformacji szła na wschód, należało więc przydzielić stolicę Polski do wschodniej

provincji zakonu jezuitów.
Kropka.

Kontrreformację zaliczam do sił, które układły Polskę w grobie. To ona pozbawiła nas wcale niezłego miejsca na rynku kulturalnym Europy, jakie zdobyliśmy sobie w stuleciach XV i XVI. Zajadłe dążenie do

"nawrócenia" prawosławnych należało do przyczyn wydarzenia, które zgubiło Rzeczpospolitą. Ułatwiło katastrofę na Ukrainie.

Wspaniały tytuł Rzeczypospolitej Obojga Narodów historia uznała za niedostateczny. Nie zaspokajał on jej kategorycznych żądań. Winniśmy byli przetworzyć się w Rzeczpospolitą Trojga Narodów. To się nadawało do urzeczywistnienia, lecz pod jednym nieuniknionym warunkiem. Trzeci równouprawniony członek państwa - Ruś, Ukraina - musiał pozostać prawosławny. Schizmatyczny, jeżeli kto woli. Kontrreformacja powiedziała naszej historii - veto. Chciała Rzeczypospolitej tylko dla katolików i postawiła na swoim. .nv
W stronę Ciemnogrodu (c.d.)

Dość chyba dobitnie określiłem mój pogląd na kontrreformację. Musiałem to zrobić, bo w dalszym ciągu zamierzam z uznaniem pisać o pewnych jej sprawach. Ujemnie oceniając zarówno zamiar, jak skutki, szanuję jakość roboty. Wykonanie było pierwszorzędne.

Próbuję odcyfrować, w jaki sposób "reakcja katolicka" zdobyła rząd dusz i umysłów. Publicyści piszący w początkach XVII wieku zużyli beczki atramentu na protesty przeciwko zagarnianiu przez jezuitów dóbr materialnych. Pisali o krociowych sumach, prawie o basztach wyładowanych złotem.

Nie przypuszczam, by to właśnie stanowiło istotę rzeczy. Za Zygmunta Augusta biskupi bywali potentatami, bogaczami, a nikt za nimi nie szedł. Nie miałyby też chyba racji ten, kto by próbował sprowadzić wszystko do "mechanizmów" prostych i powiedzieć, że katolicyzm sprzyjał interesom materialnym szlachty i dlatego odwojował ją. A kalwinizm, luteranizm i prawosławie interesom tym nie

sprzyjały? Jeśli nie, to widocznie Mikołaj Radziwiłł Czarny z nienawiści do obszarnictwa przyjął doktrynę Kalwina. O czym tu mówić! Jedni arianie występowali przeciwko nierównościom. Jedni, ale nie wszyscy.

Na początku XVII wieku nie znany autor pisma "Votum katolika jednego o jezuitach" wykladał swe poglądy w sposób dość bezceremonialny. Zaliczał się widać do ówczesnych polskich konserwatystów. Wzdychać musiał do moralnej atmosfery doby konfederacji warszawskiej, poręczającej swobodę sumień. "Naprzód - twierdził o jezuitach - starają się z wielką pilnością, aby się do dworów paniących jako najbardziej włudzić i do nich przystęp mieć. Bo to jest gniazdo jezuitów własne, z którego potem na myślistwo wylatują. I wolałyby jezuita nie wiem jaką sromotę podjąć, niż od dwora ekskludowan być. Tu nogę postawiwszy i postawkę nastroiwszy, zaraz się rządu ujmują tak, że co żywo, do nich po rozum chodzi, a nawet i biskupów samych pedagogami zostali... Bo państwa naprzód w moc swoją, jako w pazury jakie, ujmują i nimi, jako chcą, kierują; potem młódź na szkodę Rzeczypospolitej wczas na swe

kopyto przerabiają i w one się wgrążają".

W roku 1585 dwaj jezuici polscy, Bartłomiej Tomaszewicz i Pakosz Bernard Gołyński, wyruszyli do Szwecji w misji specjalnej. Wysłał ich tam głośny Possevino. Chodziło oczywiście o próbę przywrócenia Szwecji katolicyzmowi oraz o porozumienie pomiędzy nią a Habsburgami (jak widzimy, rekatalizacja Szwecji wcale, ale to wcale nie oznaczałaby zahamowania wpływów niemieckich). Zakonnicy interesowali się, rzecz jasna,

dworem monarszym, a nie plebsem. Liczono na króla Jana III, który posunął się aż do zamknięcia uniwersytetu luterańskiego w Uppsali, lecz stanowczego kroku w kierunku Rzymu jednak nie zrobił. Księdzu Gołyńskiemu udało się zbliżyć do królewicza Zygmunta, zostać jego spowiednikiem i kaznodzieją. Z nim razem, już jako z królem polskim Zygmuntem III, powrócił ojciec Bernard do kraju. Uzyskane w Sztokholmie stanowisko zachował dożgonnie, wpływy znacznie powiększył. Maczał palce w najbardziej tajemnych akcjach Zygmunta, takich jak plan odstąpienia korony Habsburgowi. Władze zakonne nie tylko aprobowały jego osobisty sukces, ale wyzyskały go w pełni, nadzwyczaj starannie reżyserując rolę zausznika królewskiego. Był on jednym z kółek jezuickiego mechanizmu precyzyjnie działającego na dworze krakowskim. Gołyński i Skarga to dwa główne składniki owego aparatu. Tylko za zezwoleniem ojca Piotra mógł ojciec Bernard wdawać się w ważne rozmowy z Zygmuntem. Obaj musieli

szczegółowo zapisywać swe
czynności, które to sprawozdania
otrzymywał prowincjał zakonu.
Gdy w roku 1592 ciężko chory
Gołyński chciał poratować
zdrowie nad Adriatykiem,
katolicka Wenecja nie wpuściła
go w swe granice. Przyszło
zadowolić się ziemiami
austriackimi. Opozycja polska, a
więc i stronnicy Zamoyskiego
także, musiała naprawdę nie
lubić Gołyńskiego, skoro kilka
lat po jego zgonie w wiślickim
kazaniu Skargi zabrzmiały
wyraźnie akcenty obronne:
"Jeszcze w dzieciństwie i
młodziuchny będąc i dorastając,
zamiłował sługi swe królewic
szwedzki..."
Polityczny życiorys Pakosza

Bernarda Gołyńskiego stanowi
próbkę solidnej, dobrej roboty.
Najlepiej to poznać z jej
skutków. Zygmunt III żądał od
hetmana Koniecpolskiego, aby nie
było "ministrów" protestanckich
nie tylko w samych obozach, lecz
i w miastach, w których pobliżu
wojsko koronne rozbijało
namioty. (Od armii litewskiej nie
można się było tego domagać;
hetmanił jej Radziwiłł, kalwin).

Za Stefana I w Wilnie Włosi z
orszaku kardynała, który miał
wkrótce zostać papieżem,
zdziwili się w sposób przyjemny,
że do stołu w domu pewnego
kanonika zasiadł wraz z nimi
polski różnowierca. Był nim
pamiętnikarz Teodor
Jewłaszewski. Nieco później, w
początkach stulecia XVII,
przyszło mu zapisać: "Teraz
między różnymi wiarą ani już
pytać o miłość, szczerłość i
prawdziwie dobre zachowanie się".

Trzeba nieustannego ciśnienia
wielu atmosfer, by sprawiać
takie przemiany w komórkach
mózgów ludzkich. Można pewnie

ułożyć dość wyczerpujący spis osób, których wpływ urobił psychikę Zygmunta III. Jeśli chodzi o tłum - autor wspomnianego już "Votum Katolika" mówił już przecie, że jezuici "młódź wczas na swe kopyto przerabiają i w onę się wgrążają". Piękne słowo - wgrążać się. Szkoda, że zapomniane.

Rozrost kierowanego przez zakon szkolnictwa należy do tematów dobrze znanych, podręcznikowych. Zaczęło się już za Zygmunta Augusta od założenia kolegium w Braniewie - potem w Pułtusku, Poznaniu, Krakowie, w Wilnie. W roku 1590 mieli jezuici uniwersytet wileński oraz jedenaście kolegiów w całym kraju. W przeciągu dalszego półwiecza przybyło im jeszcze około czterdziestu. Postawili na młodzież, potrafili zdobyć jej

umysły i bardzo im się to opłacało. Wiele realizmu w wywodach publicysty z zarania XVII wieku, którego zdaniem katolicy tolerancyjni, do prześladowań nieskorzy, to "starzy katolikowie". A tych nowych, dodaje, już i gołym okiem "znać dobrze, bo przy szabli pacierze u pasa wieszają, obrazki, krzyżyki w komorach swych stawiają, kompanie maszkarne i insze ligi, konspiracye... stroją". Ojcowie lepsi byli od synów, "choć obrazków nie lizali ani paciorków u pasa nosili".

Już u schyłku XVI wieku zaczynają w Rzeczypospolitej wyrastać kościoły stawiane na nowy ład. Kontrreformacja to prąd totalistyczny. Ona się nie mogła pogodzić z zeświecczoną do rdzenia, indywidualistyczną sztuką renesansu. Nie w jej guście była taka Kaplica

Zygmuntowska, która o wiele bardziej przypomina salę pałacową niż świątynię. Tego rodzaju sztuka stanowiła nieprzydatne narzędzie. Elitarny, arystokratyczny renesans reprezentował czasy "starych katolików", epokę skażoną i skazaną. Jego sceptycyzmem nasiąkły spokój był nie do pogodzenia z fanatyzmem. Umiar równał się herezji.

Partacze próbowaliby nawrotu. Chcąc skreślić renesans wywlekliby z mogiły gotyk. Lenistwo umysłowe dyktowałoby rozwiązania łatwe. Reakcja katolicka w jej bohaterskim okresie kierowali ludzie inteligentni i odważni. Oni się nie ulękli nowej sztuki. Sami się stali jej najtęższymi protektorami. Chcieli władzy papieża nad sobą współczesną Europą i pojmowali, że do tego celu nie zaprowadzą środki z czasów św. Franciszka z Asyżu. Wiedzieli, że tłum zdobywają nowatorzy, a nie konserwatyści.

Kontrreformacja stworzyła własną sztukę. Powołała do życia barok i nim wojowała. Dynamiczny, pełen ekspresji, groźny i patetyczny aż do hysterii styl okazał się orężem w sam raz. Pasował do epoki, w której wszystkie zwaśnione o wiarę obozy bardziej ufały rapierowi niż perswazji.

Barok to nie tylko rozfalowane architrawy i figury świętych upozowane po aktorsku. Gotyk także wskazywał ludziom niebo, lecz całą resztę pozostawiał przeważnie ich indywidualnemu odczuwaniu. Darzył chętnych łaską samotności. W kościele barokowym jest to zabronione. Wierni stanowić mają zwarty, przez samo wnętrze świątyni zorganizowany szereg, poddany

oddziaływaniu jednej myśli.
Akcent główny to wielki ołtarz.
Nawy boczne zanikają, kaplice
tworzą wieniec wnęk. Jak
najwięcej białego światła,
witraży nie potrzeba. Nie wolno
rozpraszać uwagi! Należy ją
skupić, przykuć do wizji
wybranych przez mocodawcę, a
przez artystę pokazanych w
sposób jak najbardziej dobitny,
sugestywny, wyraźny.
Podporządkować kaznodziei, który
jest równie teatralny, jak
rzeźby na ołtarzach. Wierni -
wizjowicze i słuchacze - mają się
na zawsze przetworzyć w kolumnę
bojową. Żyć, myśleć i działać
według jednego wzorca.

Już w pierwszym
dziesięcioleciu XVII wieku
barokowe, monumentalne kościoły
stoją w Krakowie oraz w Wilnie.
Noszą wezwania świętych Piotra i
Pawła w pierwszym, Kazimierza w
drugim z tych miast. Równe im
wiekiem, a nawet odrobinę
starsze wznoszą się w
radziwiłłowskim Nieświeżu, w
Poznaniu, w Przemyślu i w wielu
innych miastach znacznych. Toteż
zdumiałem się mocno, kiedy
trafiłem do Sejnu i zobaczyłem

tam taki kościół barokowy, że
Warszawa może go zazdrościć.
Zbudowany został - głosi napis
na ścianie - zaraz na początku
XVII stulecia. Z błędu
wyprowadziła mnie rozmowa z
Andrzejem Ryszkiewiczem, dobrym
znawcą dziejów naszej sztuki.
Dopiero u samego schyłku XVIII
wieku kościół sejneński otrzymał
barokowe kształty, dodatki
raczej. Pierwotnie był
renesansowy. Fundatorzy - Jerzy
Grudziński i małżonka jego
Justyna z Dulskich -
przeznaczali go dla dominikanów,
którym jednocześnie podarowali
całe miasteczko wraz ze

wspaniałym, do dziś istniejącym klasztorem. Jedynymi protektorami baroku w owej wczesnej dobie jego życia byli jezuita. Inne zakony, czcigodne i omszałe, budowały na stary lub ku tradycyjnym pojęciom nachylony ład. Proszę się tylko przyjrzeć kościołowi Kamedułów na Bielanach pod Krakowem. Usuńmy z fasady emblematy religijne - zostanie fronton pałacu. Takich właśnie porządków w sztuce jezuita sobie nie życzyli.

Jakież to znamienne! Elitarny, najlepiej świadomy celów i najbardziej bojowy oddział kontrreformacji walczy od początku orężem nowej sztuki. Wszystkie inne konwenty dopiero z czasem przyznają mu słusność i ruszają - szlakiem już przetartym.

Pierwowzorem świątyni barokowej jest kościół del Ges~u, wzniesiony w Rzymie w latach 1568_#1584. Już w 1586 roku zaczyna się budowę w Lublinie - dokładnie na jego obraz i podobieństwo. Do murowania w tym stylu zabrali się jezuita z taką samą gorliwością, z jaką zabiegali o zakładanie szkół. Zbigniew Hornung pisze w drugim tomie "Historii sztuki polskiej" o

istnej gorączce budowania. Pośpiech był tak wielki, że raz robota kulała, zacinała się, kiedy indziej zawaliło się nawet... Zakon dobrze wiedział, czemu się śpieszył. Doceniał znaczenie sztuki. I umiał się nią posługiwać, co zdarza się o wiele rzadziej. Żaden z malkontentów nie mógł narzekać na zastój w architekturze, malarstwie czy rzeźbie. Ogół patrzył na powstawanie dzieł nowych, ciekawych i

niepokojących. Działały one jak magnesy.

Znany nam już autor "Votum katolika" powiedział, "że do nas tylko brzuchy jezuickie posłano, które nadziewać musimy, a głową interim mózg hiszpański albo włoski włada". Trudno o większą niedorzeczność. Kiedy ją napisano, Maciej Sarbiewski był wprawdzie dopiero chłopcem, ale Piotr Skarga słyszał w kraju, a Jakub Wujek od dawna już nie żył. I to miały być "brzuchy"!

Kontrreformacja porwała i zaprzęła w swą służbę talenty, co stanowiło jeden z istotnych czynników jej zwycięstwa. Protestanci oraz wolnomyśliciele mogli jej przeciwstawić tęgie intelekty. Tutaj przewaga nie przyszła łatwo. Nie przyszłaby pewnie wcale, gdyby nie użyto administracyjnego knebla i nie pchnięto na przeciwników sfanatyzowanego tłumu. Ale co mogło przeciwstawić takiemu Skardze biedne prawosławie? Dopiero na samym przełomie XVI i XVII wieku zaczyna się w cerkwiach głosić kazania. Poprzednio pouczało się parafian, czytając im te same ciągle teksty. W tych warunkach zwyczajny snobizm (że już przemilczę prawdziwe potrzeby kulturalne) okazał się czynnikiem ważnym. Pchał spolonizowanych już obyczajowo magnatów i szlachtę ku katolicyzmowi. Przywiązanie ludu

ruskiego do wiary przodków pozostało jedyną ostoją prawosławia. I jak się okazało - zupełnie wystarczająca.

Wspomniałem o środkach administracyjnych. W roku 1638 usunięto arian z Rakowa. Zamknięto tamtejszą uczelnię, która posiadała europejski rozgłos. Zachowany w kieleckim

pałacu biskupim fresk ze szkoły Tomasza Dolabelli pokazuje scenę sądu nad Braćmi Polskimi. Świadczy, że władza polityczna rozstrzygnęła w sporze o wiarę. Widać na tym fresku samego Władysława IV. W trzy lata później proboszczem katolickim został w Rakowie Bonawentura Dzierżanowski, reformator, były prowincjał Małopolski. Ksiądz ten uczestniczył w kapitule swego zakonu w Toledo, czterokrotnie odwiedził Rzym. Za każdym razem wędrował pieszo, o żebranym chlebie. Na piechotę również uwijał się po wsiach wokół Rakowa. Kazał, nauczał, bronił chłopów przed uciskiem.

Z takimi ludźmi świata się też nie podbije, bo to niemożliwe, ale umysł szlachty polskiej zawojować można. Nie wystarczy powiedzieć, że kontrreformacja przemocą odjęła arianom Raków. Trzeba jeszcze dodać, kogo tam posłała, jaki charakter uczyniła swym szermierzem. Piotr Skarga też nie dbał o osobistą karierę. Luksusem w oczy nie kłuł.

Wychowawcą osławionej Maryny Mniszchówny był ksiądz Gąsiorek, bernardyn, z pochodzenia mieszczanin lwowski. Kształcony w Krakowie, Paryżu, Perugii i w Rzymie, zostawszy prowincjałem dbał o wysyłanie zdolnej młodzieży we własne ślady. Umiłowany przez się Sambor przekształcił w poważny ośrodek ruchu religijnego. Bardzo energiczny i bez reszty oddany kontrreformacji, czyli programowi Soboru Trydenckiego, wywierał znaczny wpływ na

ziemiaństwo. W roku 1605 Samozwaniec, narzeczony jego wychowanicy, dotarł na Kreml. Ksiądz Gąsiorek nie czekał na stabilizację stosunków. 6 stycznia 1606 roku, jako

"komisarz misji moskiewskiej",
wraz z siedmiu zakonnikami
ruszył na wschód. Zdażył
nawrócić tam trzydziestu ludzi.
W maju, podczas znanego
powstania w Moskwie, nie
podzielił losu Samozwańca. Życie
ocalił, dostał się do niewoli. W
sierpniu 1607 roku zmarł w
Jarosławlu nad Wołgą. Jego
postępowanie nie jest żadnym
argumentem w sporze o ocenę
afery "Dymitraszki". Świadczy
tylko, że kontrreformacji
służyli ludzie skłonni do
grubego ryzyka.

Reakcja katolicka stanowczo
wolała "środki bogate". Wyroki i
egzekucje aż za dobrze o tym
świadczą - jeśli komuś nie
wystarcza sama wymowa uchwalanych
praw. W pierwszej połowie XVII
wieku proboszczem w Borku
Wielkopolskim był Feliks
Durewicz. Miasteczko
zawdzięczało mu szkołę oraz
księgozbiór (to w Borku właśnie
introligator dorobił się
zamożności). Ksiądz Durewicz
żarliwie nawracał protestantów,
lecz zabraniał ich prześladować.
Opiekował się heretykami
uciekającymi ze Śląska, gdzie
stosowano środki o wiele
bogatsze niż w Rzeczypospolitej.
Osobiście wyszukiwał dla nich
kwatery. Trzykrotnie zapobiegł
pogromowi Żydów. Brał w obronę
czarownice. Sprawił, że
wytaczane im procesy odbywały
się nie inaczej niż w obecności
dziedzica Borku, który oskarżone
z reguły uniewinniał.
Rozmówiona w represjach
kontrreformacja nie gardziła i
takim sługą, jak ksiądz
Durewicz. Życiorys jego zdaje
się zdradzać wielką tajemnicę,
którą zakon jezuitów znał

najlepiej i w postępowaniu swym
uznawał za zasadę. Żądało się

absolutnej wierności wobec doktryny i przełożonych, lecz pozostawiało podwładnym swobodę inicjatywy. Mieli działać skutecznie, osiągać wytyczone cele. Nie musieli asekurować się, uzgadniać każdego kroku. Stworzono, słowem, warunki sprzyjające pracy ludzi z talentem i charakterem. Silna indywidualność nie dyskwalifikowała.

Kontrreformacja to ruch na serio. W jej bohaterskim okresie rozstrzygały względy merytoryczne, a nie formalne i personalne, wiodące do osobistych karier. "Królestwo Boże gwałt cierpi i gwałtownicy zdobywają je". Ludzie z kręgosłupem - powiedziano wyraźnie - nie mięczaki i kombinatorzy.

Z czasem oportunizm przemógł. Po rokoshu Zebrzydowskiego jezuita zaniechali popierania reformatorskich zamierzeń tronu, przestali bronić ludu. Uznali za pożyteczniejsze schlebiać egoizmowi szlachty. W przyszłości zagraniczni przełożeni mieli zwracać polskim współbraciom uwagę na fatalne zacofanie szkolnictwa. Nie pomagało, bo w istniejących warunkach absolutnego panowania nad umysłami uprzywilejowanych lepiej było niczego nie zmieniać. Zastój przynosił zysk. Pomysły wzmocnienia państwa przy pomocy kontrreformacji okazały się marzeniem ściętej głowy.

Lecz w początkowym i decydującym okresie reakcja katolicka nie wygrałaby aż tak totalnie, gdyby nie potrafiła zmobilizować ludzi z prawdziwego zdarzenia. "Populus est ducendus, non sequendus" - prawda od dawna znana w Kościele. Ale za byle kim żaden lud nie pójdzie, o tym w heroicznej dobie kontrreformacji

też pamiętano. Niczego nie
pojmiemy, nie znając pierwszego
pokolenia bojowników. Oni
odwojowali dla Rzymu polską
pozycję, którą nuncjusz Alojzy
Lippomano uważał za straconą
bezpowrotnie.

Robota była pierwszorzędna.
Trudno temu zaprzeczyć, nawet
płacząc nad jej skutkami.

Usiłowałem pobieżnie
naskicować natarcie
kontrreformacji na wielu
frontach. Wpływy na dworze
królewskim i szkolnictwo, nowa
sztuka i środki materialne,
represje i ofiarność, surowość i
poświęcenie, kaznodziejstwo i
osobisty przykład. Punkt i czas
wyjścia wielkiej ofensywy jest
wiadomy. 4 grudnia 1563 roku
zamknął swe obrady Sobór
Trydencki, który nie ogłosił ani
jednego nowego dogmatu, ale w
dziedzinie organizacji i
dyscypliny dał Kościołowi rzeczy
bezценne. Potwierdzona została
władza papieża, wzmocnione
instrumenty rządzenia, karność
przywrócona. Wziął górę kierunek
surowy. Od stuleci wołano w
Kościele o reformę "w głowie i w
członkach". Zgodnie zarówno z
logiką, jak z wymaganiami
praktyki życia, zaczęło się od
wzmocnienia głowy. Nastąpiła
zdecydowana poprawa w sztabie
głównym, to był zasadniczy
warunek powodzenia. Chwiejnie
poprzednio, dojutrkujący biskupi
polscy od razu stwardnieli,
usłyszawszy nowy ton rzymskiego
rozkazodawstwa. Całe wielkie,
wielostronne natarcie było
przecież świadomie kierowane.
Przeprowadzenie go stanowiłoby
fizyczną niemożliwość, gdyby
wcześniej nie okrzepł sam sztab.
Zwycięstwo kontrreformacji było
w samej swej istocie zwycięstwem
organizacyjnym. Wiara ożywiała
bojowników reakcji katolickiej,
ani na chwilę o tym nie
zapomniałem. Ale wiary i przed
Soborem Trydenckim nie brakło,

tylko wysiłki wyznawców rozpraszały się, szły na marne. Walczyć zresztą trzeba było przeciwko różnowiercom, którzy - jak sama nazwa wskazuje - także wierzyli.

Na przełomie XVI i XVII w. społeczność Rzeczypospolitej uległa nie jednej metamorfozie, lecz dwom. Potomkowie ludzi politycznie trzeźwych i nieźle zdyscyplinowanych zaczęli się przetwarzać w stado pomylnych warcholów. Zbiorowość, która ceniła swobodę myśli i sumień, szybko wyrzekła się tolerancji. Popadła w fanatyzm.

Obie przemiany były fatalne. I w obu punkt wyjścia stanowiły fakty dokonane w samych ośrodkach władzy. Ten państwowy katastrofalnie osłabł, znalazł się po prostu w zaniku. Utracił możliwość harmonizowania, kierowania w ogóle. Siły polityczne kraju poszły samopas. Z ośrodkiem władzy kościelnej było wręcz przeciwnie. Wzmocnił się, uzyskał przez to szansę zdobycia totalnego rządu dusz i urzeczywistnił ją.

Nie wydaje się, aby instytucja władzy była czynnikiem mało znaczącym w historii. System władzy przyczynia się do kształcenia lub deprawacji tego, co nazywamy charakterem narodowym. Tak przynajmniej świadczą fakty.

Cena totalizmu

Na początku 1963 roku Wydawnictwo Literackie dało nam książkę Stanisława Wasylewskiego "Sprawy ponure. Obrazy z kronik sądowych wieku Oświecenia". Tytuł dobrze przylega do treści. Przedmowę zakończył autor akcentem krzepiącym: "Niezaszczytnym dokumentem dla

wieku XVIII jest ten tom gawęd.
Wszelako jedna okoliczność
łagodzi sprawę: na drugi tom nie
starczyłoby materiału".

Wcale nie jestem tego pewien.
Wasylewski postąpił
nielogicznie. Bo skoro się
ogłosiło wstrząsający opis rzezi
humańskiej, której winowajcami
byli ukraińscy poddani
Rzeczypospolitej, to koniecznie
trzeba chyba powiedzieć o
odpowiedzialności inspiratorów,
więc Rosjan. A przede wszystkim
- pokazać, jak wyglądał odwet.
Ciekawych odsyłam do pięknych
"Opowiadań podolskich" Juliana
Wołoszynowskiego, do rzeczy
zatytułowanej "Nenufary".
Przytaczać nie będę, aby nie
kaleczyć dzieła sztuki,
wyrywając z niego kilka zdań, i
nie popełniać nielojalności.
Autor odważnie powiedział
prawdę, ale za sensacją się nie
uganiał. Jedno tylko muszę
dodać. Okropna kaźń Gonty była
zaledwie fragmentem rozprawy
dokonanej ze wstrętnym
okrucieństwem. W Humaniu
hajdamacy poczynali sobie
zbrodniczo, lecz inaczej się
kształtuje moralna
odpowiedzialność prymitywnego
kozactwa, a inaczej regimentarzy
i dostojników koronnych. Nie
prawmy sobie komplementów i nie
zaręczajmy, że brak materiału na
drugi tom "Spraw ponurych".

Dla niniejszych roztrząsań
ważne są dwie gawędy (dziwny
termin przy tego rodzaju
temacie!) Wasylewskiego.
"Zbrodnia wojewodziny
wileńskiej", która opowiada, jak
separowana żona księcia Panie
Kochanku kazała ściąć szlachcica
Czeszejkę i jak później uszła do
Austrii, bo w Polsce groził jej
proces. "Spalenie czternastu
czarownic w Doruchowie"

zaznajamia nas z przebiegiem
ostatniej w Rzeczypospolitej
egzekucji tego rodzaju. Odegrała
się w roku 1775 i zdecydowanie
przyspieszyła akcję wcześniej
rozpoczętą. Już w roku
poprzednim wojewoda Sułkowski i
podkomorzy Górowski ostro

protestowali w sejmie przeciwko
podobnym praktykom. Doruchów
wstrząsnął opinią publiczną i
postawił sprawę na ostrzu noża.
W roku 1776 król Stanisław
August zażądał zniesienia
tortur, a kasztelan biecki
Wojciech Kluczewski skasowania
kary śmierci za czary. Sejm
jednomyślnie uchwalił oba
przedłożenia. Od tej pory nie
wolno było w Polsce tracić
"wiedźm" i stosować tortur we
wszystkich procesach
kryminalnych.

W tym samym czasie - informuje
Zygmunt Gloger - w
protestanckiej Szwecji, we wsi
Mora, od jednego zamachu spalono
siedemdziesiąt dwie kobiety i
piętnaście dziewcząt. Wyrok
wydała komisja królewska. Akt
oskarżenia zarzucał ofiarom
czarownictwo. W roku 1770
parlament angielski postanowił,
że niewiasty, "oszukujące
mężczyzn sztucznymi wdziękami,
skazywane być mają na tę samą
karę, jaka ustanowiona jest
przeciw czarom".

Nie pomyłę się chyba,
twierdząc, że Doruchów
prześcignął w pewnym sensie
uchwałę parlamentu w Wielkiej
Brytanii i wyrok komisji króla
szwedzkiego. Uzyskał mianowicie
znacznie większy rozgłos. I to
bardzo specjalny rozgłos. Wiele
osób wie o męczeństwie ofiar i
okrucieństwie dziedzica. Mało
kto słyszał o replice sejmu i
króla.

A teraz pytanie całkiem

konkretne. Kiedy i gdzie na terytorium dzisiejszej Polski po raz ostatni spalono na stosie człowieka? Odpowiedź ścisła: 21 sierpnia 1811 roku w Reszlu, który należał wtedy do królestwa pruskiego.

Sprawę Barbary Zdunk z domu Urban, urodzonej pod Bartoszczycami plebejki, poznać możemy dokładnie z wartościowej książki Władysława

Ogrodzińskiego "W cieniu samotnych wież". Wydało ją olsztyńskie "Pojezierze" w roku 1962. Rozdział poświęcony interesującemu nas tematowi nazywa się: "Płomień i mrok". Rzecz się dzieła u schyłku doby napoleońskiej. Królestwo pruskie, mocno się szczycące swą europejskością, słuchało wtedy cesarza Francuzów, który osobą własną nieraz w Prusach przebywał, a takich spraw jak reszelska na pewno nie pochwalał.

Szczegóły znajdziemy u Ogrodzińskiego, który rzecz zbadał źródłowo. Powtarzam za autorem najważniejsze dane. Barbara Zdunk, osoba umysłowo niedorozwinięta, była oskarżona o podpalenie Reszla. Dowodów brakło, istniały silne poszlaki. W więzieniu przebywała przez cztery lata, przy czym dozorczy skorzystali ze sposobności i urządzili w turmie jednoosobowy tylko wprawdzie, ale dochodowy zapewne dom publiczny. Skazał ją sąd miejski, wyrok zatwierdziła królewiecka Izba Sprawiedliwości, a moc ostateczną nadała mu decyzja samego Fryderyka Wilhelma III (słynna królowa Luiza już wtedy nie żyła). Minister justycji dorzucił od siebie rozporządzenie wykonawcze. Przed podpaleniem stosu kat winien był "nieznacznie" udusić skazaną.

Wyrok oraz ministerialne polecenie wykonano.

Minister uzyskuje pewną sympatię, ale ustawia się w towarzystwie dość podejrzanym. Przecież inkwizycja hiszpańska też umiała palić na stosach świeżo uduszone trupy. Najpierw "garota", potem płomień. I w średniowieczu nie tak już wielu było amatorów palenia ludzi żywcem. Ten rodzaj kary rezerwowano dla zatwardziałych i recydywistów w kacerstwie. Podobnie działo się we Francji w wieku XVII, podczas

przerażających łowów na czarownice, kiedy to poszczególni sędziowie miewali na sumieniu setki ofiar skazanych oraz dziesiątki takich, co wolały skończyć samobójstwem. Kat dusił przywiązaną do słupa kobietę i dopiero podpalał drewno. Tak bywało nie zawsze, lecz często. Minister króla Fryderyka Wilhelma III nic nowego nie wymyślił. Jego wielkoduszność była spod znaku Torquemady.

O Barbarze Zdunk cicho na świecie. Jakżeby to było inaczej, gdyby skazał ją sąd polski... Ale to się zdarzyć nie mogło w żaden sposób. Ostatni przedstawiciele władzy polskiej w Reszlu i reszcie Warmii, biskupi Stanisław Adam Grabowski oraz Ignacy Krasicki, przez trzydzieści lat swych rządów nie zatwierdzili ani jednego wyroku śmierci. Stos Barbary Zdunk zapłonął w czterdzieści zim po zajęciu Warmii przez Prusy. Zwalić odpowiedzialność na polskie tradycje - nie sposób.

Poprzedni rozdział nie pozostawił, mam nadzieję, wątpliwości. Mój pogląd na kontrreformację jest niedwuznaczny. Pod jego wpływem

szlachta polska zapała się
polskiej historii. Odrzuciła
wielowiekowe, piastowskie i
jagiellońskie tradycje
powściągliwości i umiaru we
wszystkim, co dotyczy religii.
Jeśli kto uprze się twierdzić,
że zerwała tylko ze swym
poprzednim indyferentyzmem, nie
obrażę się i nie podejmę sporu.
Indyferentyzm to piękna cnota -
wcale nie wykluczająca
ideowości. Człowiek indyferentny
nikogo o wiarę nie zamorduje i
nawet dręczyć nie będzie.
Zagwarantujmy to światu, a zaraz
nam się wyda, że raj zapanował
na ziemi.

Trzeba jednak oznaczyć głębiej
upadku. Sprawdzić, na jaki

poziom zepchnęła Rzeczpospolita
kontrreformacja.

Ośławiony "Młot na
czarownice", napisany przez
dwóch Niemców i wydany w Kolonii
w wieku XV, spolszczono w roku 1614
dopiero. Dokonał tego Stanisław
Ząbkiewicz, sekretarz księcia
Ostrogskiego, konwertyty. W
przedmowie narzekał, że w Polsce
czary uchodzą bezkarnie, ludzie
w nie wierzyć nie chcą, a jeśli
nawet wierzą, to nie ścigają.
Przesadził? Pewnie. Ale nie ma
dymu bez ognia. Zresztą - ważna
jest sama wymowa przytoczonych
dat...

11 kwietnia 1669 roku biskup
kujawski Florian Czarotoryski
podpisał w Smardzewie reskrypt,
zabraniający pod karą klątwy
nadużyć takich na przykład, jak
poddawanie torturom bez dowodów
winy, na mocy samego tylko
oskarżenia. Powtórnego
torturowania odwołujących
zeznania, podsuwania nazwisk
osób, które obwinieni muszą
uznać za współników, zakazu
apelacji i tak dalej. Biskup
zaleca sędziom karać grzechy,

"jednak nie tajemne i których trudno dowieść, ale tylko jawne, na przykład zabójstwa, kradzieży, wydarć, oszukiwania i gwałty... cudzołóstwa takżę, obciężenia ubogich, pijaństwa, świat nieświęcenie". Zdaniem znawcy okólnik biskupa Czartoryskiego wyprzedzał ustawodawstwo europejskie o cały wiek.

5 maja 1703 roku Stanisław Szembek - zbiegiem okoliczności również biskup kujawski - wyjednał u Augusta II rozporządzenie, którego mocą sądy miejskie i wiejskie traciły prawo rozpatrywania spraw o czary. Pierwsze pod groźbą kary tysiąca dukatów, drugie - śmierci. Niestety, w Polsce ówczesnej nikt już nie pilnował wykonywania dekretów.

W XVIII wieku żył gwardian

bernardynów, ksiądz Serafin Gamalski, z pochodzenia mieszczanin. Wykształcenie posiadał - studiował w Rzymie - położył znaczne zasługi dla archiwistyki krajowej. Miejsce w dziejach kultury zapewniła mu jego książka "Przestrogi duchowne sędziom, inwestygatorom i instygatorom czarownic potrzebne", wydana w dziewięć lat po zgonie autora, czyli w roku 1742. Ksiądz Gamalski zdecydowanie występuje przeciwko powierzaniu tych spraw ludziom ciemnym oraz przeciwko torturom, które do niczego nie prowadzą. Bo jeżeli nawet oskarżony wytrzyma i nie przyzna się, sąd poczyta mu to właśnie za czary. Forum właściwym powinien być wyłącznie trybunał biskupi. W Rzeczypospolitej ściganiem czarownic i czarowników zajmowały się instancje miejskie i wiejskie, przepełnione analfabetami.

Serafin Gamalski zgrzeszył
chyba jednak optymizmem.
Przykłady zagraniczne świadczą,
że ludzie wykształceni nie byli
lepsi od polskich prostaków.
Bywali nawet stokroć gorsi.

Wiara w czary to schorzenie
umysłowe, które ogarnęło całą
Europę w stuleciu XVI i XVII, a
przesiliło się dopiero w XVIII.
W tej dziedzinie Rzeczpospolita
nie stanowiła wyjątku i daleko
jej było zarówno do
pierwszeństwa, jak do dna.
Historyk francuski Filip
Erlanger powiada celnie, że w
XVII wieku przeciętny
Europejczyk "w praktyce
zapomniał o granicy pomiędzy
wiarą w dogmat chrześcijański o
egzystencji szatana a wiarą w
czary..." A w IX wieku "Canon
episcopi" głosił, że popada w
pogaństwo każdy, kto wierzy w
napowietrzne podróże kobiet
uwiedzionych przez diabła. W
stuleciu XIII papież Aleksander
IV zabraniał ścigać winnych

praktyk magicznych, jeśli
uprawiali tylko swój proceder,
lecz nie popadali w wyraźną
herezję. W roku 1605 pewien
teolog stwierdza: nie ulega
żadnej wątpliwości, że
czarownicy nie mogą szkodzić
przedstawicielom wymiaru
sprawiedliwości. Tego rodzaju
pewność rozwiązuje oczywiście
ręce fanatykom. Inny uczony
kanonik dowodzi, że czarownik
"jako wypełniony substancją
sataniczną, która jest lekka i
przejawia skłonność do unoszenia
się na kształt ognia, musi być
łżejszy od uczciwego człowieka
normalnej tuszy". Oskarżonych
ważono więc. Dokonywano również
innych prób. Czarownicy i
czarownice "muszą być lżejsi od
wody, która jako substancja
czysta brzydzi się tym, co

nieczyste, i w rezultacie musi wyrzucać nieczystość szatańską". Jak widzimy, znane i w Polsce praktyki pławienia czarownic posiadały zagraniczne uzasadnienie naukowe.

Można powiedzieć, że w Polsce powszechny obłęd europejski występował w postaci osłabionej i zdecydowanie prostackiej. Subtelności raczej u nas brakowało.

Przychodzi kolej na dziedzinę, w której nie osiągnawszy dna upadku, upadliśmy jednak haniebnie, bo ze szczytu. Daty i fakty czerpię z pracy Władysława Konopczyńskiego "O dawnej i nowej nietolerancji polskiej". Uczony ogłosił ją w roku 1918.

Zastrzegam jednak, że punktem wyjścia musi być przypomnienie o konfederacji warszawskiej z roku 1573, poręczającej swobodę sumień oraz pokój religijny, i o takich wydarzeniach, jak uwolnienie w roku 1584 drukarza, który wypuścił w świat jedno z najodważniejszych pism heretyckich. W roku 1632 zakazuje się u nas budowania nowych zborów w miastach

królewskich. W sześć lat później arianie tracą Raków. Podczas "potopu" szwedzkiego, kiedy po chwilowym załamaniu się państwa przychodzi ogólnonarodowy zryw przeciwko najeźdźcy, srogi odwet spada na protestantów, którzy wzięli stronę Karola Gustawa. Następują masakry w zdobytym Lesznie i w Nowym Sączu. W roku 1658 sejm uchwała wygnanie arian. Również w dziesięć lat później przychodzi ustawa o karze za apostazję. Nie wolno już zmieniać wyznania katolickiego na inne. Rok 1689 to sprawa Łyszczyńskiego, którego skazano za ateizm i ścięto. Ciało spalono. W roku

1718 usunięto z izby poselskiej ostatniego posła różnowiercę, kalwina Piotrowskiego. Żałować należy tylko faktu, lecz nie osoby. Piotrowski był agentem posła carskiego Dołgorukiego. W roku 1724 wydarza się osławiona "sprawa toruńska". Protestanci napadli na kolegium jezuickie, sprowokowani przez jego uczniów, i zdemolowali je. Sąd skazał na śmierć burmistrza Rosnera oraz dziesięć innych osób. Wyrok wykonano. Oburzenie w Europie było niezmierne. Zniosło się na zbiorową interwencję mocarstw, w której i Anglia miała uczestniczyć. (Dodajmy nawiasem, że surowego wyroku domagał się August II, który sam dobrał sędziów i wyinstruował ich odpowiednio. Temu polskiemu monarsze zależało na skompromitowaniu Polski, co miało ułatwić zmianę ustroju w sensie absolutystycznym. Do reformy nie doszło, pozostała sama kompromitacja. I to bardzo wielka). Od roku 1733 żaden różnowierca nie może być w Rzeczypospolitej senatorem, posłem ani urzędnikiem państwowym.

Konstytucja 3 maja 1791 uznała katolicyzm za "religię narodową panującą". Utrzymała zakaz

odstępstwa. Ogłosiła jednak "wszelkich obrządków i religij wolność".

A teraz króciutki przegląd niektórych ustaw i rozporządzeń wydanych w innych krajach europejskich.

W roku 1571 Anglia wygnała od siebie wszystkich księży katolickich. Zakaz odprawiania nabożeństw publicznych oraz zakładania szkół był w tych okolicznościach logiczny. Tego samego zabroniła na swoim terytorium Holandia, która

specjaliści wiedzą dziś o Stanisławie Iłowskim, który grał kiedyś na paryskim gruncie rolę pioniera. Pierwszy tłumaczył na łacinę niektóre pisma klasyków greckich. Zapoczątkował serię rozpraw na temat metodyki dziejopisarstwa. Zalecał swoim i obcym dążyć do prawdy, stronić zaś od krasomówstwa, subiektywizmu i moralizowania. Lecz kto w Paryżu był dlań właściwie swoim, a kto obcym? Obracał się wśród humanistów francuskich i przyjaźnił z przebywającymi nad Sekwaną rodakami. Kiedy w roku 1557 wydał w Bazylei przekład dzieła Demetriusza z Faleronu, spotkała

go niespodzianka. Jednocześnie ukazało się w Padwie inne tłumaczenie, dokonane przez niejakiego Franciszka Masłowskiego. Polacy na dobre zadomowili się w Europie doby renesansu. Rzeczpospolita Obojga Narodów zapisała się do międzynarodowej rodziny.

Zarabiała się wtedy na sławę w sposób bardzo rozmaity. Za Zygmunta Augusta burmistrzem Poznania był Kasper Goski, z pochodzenia Mazowszanin. Jako doktor medycyny niczym się nie odznaczył. Również jego prognostyki astrologiczne przez całe lat dwadzieścia nie zwróciły nań uwagi. W przepowiedni na rok 1571 zapowiedział Goski wojnę z Turkami i tryumf krzyża. 7 października chrześcijanie zwyciężyli pod Lepanto. Poznański astrolog od razu stał się jednym z najslawniejszych ludzi in universo. 15 listopada otrzymał tytuł "męża dla senatu i ludu weneckiego dobrze zasłużonego", godność patrycjusza i trzysta dukatów renty rocznej dożywotnio. W

Padwie, której uniwersytetu był wychowankiem, stanął jego posąg.

Norma, europejska norma w całej rozciągłości - od Modrzewskiego aż do Goskiego. Bo Mikołaj Kopernik to było stanowczo ponad normę.

Nie wystarczy mówić tylko o twórcach. Oto nasz dobry znajomy z "Ogniem i mieczem", regimentarz Andrzej Firlej, obrońca Zbaraża. O nim właśnie mówił Zagłoba: "Po sześć ma palców u nóg, jako kalwin, to mu i chodzić łatwiej". Firlej z powieści to starzec. Za młodu, wraz z bratem Janem, studiował w Heidelbergu, znał również inne uczelnie i miasta Europy, Szczecina nie wyłączając. W Bazylei ogłosił drukiem trzy rozprawy łacińskie. W Genewie zjawił się tuż przed zgonem

Teodora de B~eze, którego zdażył poznać. Mowa wygłoszona na pogrzebie następcy i biografą Kalwina została dedykowana obu młodemu Firlejowi. Pochodzili oni z polskich szczytów, byli magnatami, naprawdę panami z panów. W XVI wieku nikogo specjalnie nie dziwiło, jeśli średnio zamożny szlachcic z Małopolski znał Europę oraz jej protestanckie znakomitości, otrzymywał u siebie na wsi utwory zagranicznych autorów z ich dedykacjami. W zbiorowym wydaniu pism Modrzewskiego bazylejski poeta umieścił wiersz ku czci polskiego myśliciela, co także uchodziło za rzecz zwyczajną.

Reformacja w niczym nie zaszkodziła reputacji Rzeczypospolitej. Wręcz przeciwnie. Wciągnęła jej obywateli w środowiska ludzi zbuntowanych, nie pogodzonych z zastojem. Uczestnictwo w tego rodzaju ruchach stanowi moralną

ci mężowie się nie nadają.
Jeszcze mniej - na polityków.

Kontrreformacja rzeczywiście uciszyła polskie rozwichrzenie ideologiczne, uleczyła kraj z wolnomyślicielstwa. Wskutek tego nasza elita intelektualna szczyła z europejskiego rynku. Najpierw skazana została na milczenie, potem naturalną rzeczą kolejną zanikła na czas długi. Zabrakło dokonań, które nobilitują w oczach świata, odkupują winy polityki. Toteż pogodził się on dosyć łatwo z faktem morderstwa, dokonanym na narodzie, który nie tylko dźwigał się z upadku, lecz chorował nawet na gorączkę reformatorską. Naród ten obciążały bowiem grzechy okresu bezpośrednio poprzedzającego, a najbardziej liczy się zawsze to, co najświeższe. O dawnych zasługach, nawet o największych ofiarach ludzie potrafią zapominać.

Za totalizm przyszło nam zapłacić cenę bardzo wygórowaną.

Aneks

Polska anarchia

"Polacy nie umieją korzystać z wolności" - powiedział niedawno temu Janusz Kuczyński. Niemal jednocześnie Stanisław Mackiewicz napisał w "Kierunkach": "Poważni historycy XIX wieku, jak ks. Kalinka lub przedstawiciele tak zwanej szkoły krakowskiej, słusznie twierdzili, że naród polski przez swoją anarchię sam przygotował rozbiory". I zaraz potem ten sam autor, jeszcze mocniej: "...wielkie mocarstwo, które uległo rozbiorem dopiero w końcu XVIII wieku, i to dzięki nie litewskiemu, lecz polskiemu

ośmielił do mnie przyjechać!
Został też uwięziony.

A więc w średniowieczu normalnie... z pewnymi odchyleniami w stronę większej dyscypliny moralnej i politycznej, niż na przykład w Niemczech. Za to w stuleciu XVII i zwłaszcza w XVIII anarchia, chaos, ogólna niemożność. Aby się nie bawić w definicje, kładę nacisk na to ostatnie, gombrowiczowskie sformułowanie, bo ono najlepiej przylega do istoty rzeczy.

Jeśli tak było, teza o skłonnościach wrodzonych jest absurdem. Musiało zajść coś, co zepsuło stosunki, zahamowało rozwój.

W rozdziale przedstawiającym wypadki 1440 roku napisał Jan Długosz: "Większość głosów, jak zwykle bywa, górę wzięła". W XVI wieku sejmy walne koronne uchwalają większością i przechodząc do porządku dziennego nad protestami mniejszości ogłaszają postanowienia za jednomyślnie przyjęte. Nie była to metoda idealna. Zwolennicy jej jeszcze z pozoru przynajmniej hołdowali przesadowi jednomyślności, właściwemu prymitywnym organizacjom społecznym. Ale od tej metody już tylko jeden krok

do zasady zwykłego liczenia kresek i otwartego głosowania większością. Od połowy XVII wieku przyjmuje się u nas "liberum veto". Protest jednego posła unicestwia wszystko.

Kiedy, w jaki sposób i wskutek czego załamała się linia rozwoju, aż do XVI wieku wyrazista? Odpowiedź na to pytanie pomoże wyjaśnić kwestię "polskiej anarchii".

Twierdzę: dwa ostatnie panowania jagiellońskie

w Piotrkowie. Każdy sejmik wręcza swym wybrańcom opieczętowaną kopertę, zawierającą imię kandydata na króla. Ale ta instrukcja nie wiąże posłom rąk. Wolno im przychylić się do zdania kolegów, to znaczy w praktyce - większości. Posłem nie może zostać żaden starosta pograniczny i nikt w ogóle, kto świeżo powrócił z zagranicy,

"choć też Polak". Biskupi katoliccy, jako ci, co składają przysięgę na wierność ośrodkowi zagranicznemu, nie mogą uczestniczyć w obieraniu króla. Posłom zabrania się wszelkiej korespondencji, nawet prywatnej. Ogranicza się liczebność orszaków. Wojewoda na przykład może przyprowadzić dwudziestu ludzi, ale bez "strzelby ognistej". A kto by samowolnie podczas elekcji przybył do Piotrkowa, ten ma być sądzony jak za zdradę kraju.

Sejm chciał zatem zrobić z polskiej elekcji coś w rodzaju con clave. Zdawał sobie sprawę, że najgorszym niebezpieczeństwem będą intrygi zagranicy. Ani ten wniosek, ani następne (z których jeden żądał dopuszczenia do elekcji przedstawicieli jedenastu miast polskich) nie stały się prawem, a to z winy króla i senatu. Na granicy bezkrólewia zabrakło drogowskazu, który sam sejm, swobodnie obrany, usiłował ustawić grubo zawczasu.

Ośrodek władzy, czynnik niezbędny dla harmonijnego rozwoju społeczności, uległ w Polsce zmarnowaniu i to nas wyróżniło w sensie ujemnym, od pozostałych państw europejskich. Przypisywać nieszczęście jakimś specjalnym skłonnościom narodu to niedorzeczność w postaci

mało polskiemu włościaninowi daje. Na próżno.

Ostatnio Pwn wydał rewelacyjne "Pamiętniki" Władysława Czartoryskiego, zawierające również protokoły posiedzeń Biura Paryskiego. Dnia 26 marca 1863 roku Czartoryski usłyszał od Napoleona III nadzwyczajną nowinę, o której cesarz Francuzów dowiedział się był od rosyjskiego dyplomaty Mikołaja Orłowa. W roku poprzednim, 1862, omawiano w Rosji kwestię koronowania Konstantego Mikołajewicza na króla polskiego. Projekt popierali wielcy książęta, car, odpowiedzialni politycy. Wielopolski zgadzał się także. Ale przedtem - wywodził - należy kraj oczyścić, przeprowadzić proskrypcyjny pobór do wojska.

Koronacja brata carskiego zabezpieczałaby niejaką odrębność Królestwa interesami samej dynastii. Polityk nie zaślepiony pychą magnacką byłby oburącz uchwycił się projektu, ze wszystkich sił parł do jego realizacji. Wielopolski inaczej. Chciał rozmawiać z narodem "z

pozycji siły" (którą w praktyce rozporządzał nie on, lecz carscy generałowie, zwolennicy przerobienia Polski na jeden wielki żłób). Dawał narodowi mniej, niż zgadzali się dać Rosjanie.

Wielopolski uchodził u nas za świetlaną postać, której polska anarchia nie pozwoliła przychylić krajowi nieba. Jeśli popatrzyć od strony faktów, okaże się, że ówczesne społeczeństwo, konspiracji nie wyłączając, skłonne było do daleko idących kompromisów, do umiarkowania, lecz nie za wszelką cenę.

Słusznie karci się odruchy i

okropnego terroru.

Profesor Henryk Jabłoński obiektywnie stwierdza, że w latach 1918 i 1919, czyli nazajutrz po odzyskaniu niepodległości, przejawiała się w Polsce silna i na wskroś dodatnia tendencja do jak najszybszego wytworzenia władzy centralnej. Znalazło to wyraz w wyborach sejmowych zorganizowanych wkrótce i mających dużą frekwencję.

Mówiąc o dwudziestoleciu mamy prawo surowo krytykować rządy, sztaby partyjne, polityków i matadorów. Społeczeństwu ze spokojnym sumieniem można postawić pełną "trójkę", może nawet z plusem. Stopień wysoki, jeżeli pamiętać, że tylko Anglicy umieją zdawać egzaminy ze zdyscyplinowania na "piątkę".

Nad dziejami dwudziestolecia dominowała największa w dziejach świata katastrofa gospodarcza - kryzys, rozpoczęty w roku 1929. Ten sam, który w Niemczech wyniósł do władzy Hitlera. I w Polsce zaostrzyło to stosunki wewnętrzne, ułatwiało robotę kandydatom na lokalnych wodzów. Mimo wszystko, większość społeczeństwa wcale nie popierała tych skrajności. Naród, od dawna pozbawiony tradycji życia wewnątrz jednej i tej samej linii granicznej, w przeciągu krótkiego czasu zrosł się na dobre, wytrzymał wojnę

nerwów tocząca się od przedwiośnia do jesieni 1939 roku, we Wrześniu stawiał opór zasługujący na szacunek (zdaniem pułkownika Załuskiego nawet "bezprzykładny") i nie załamał się po klęsce.

Szybko stawiajmy w dzienniku "trójkę" i spierajmy się już tylko o plus.

Ponieważ jednak dziennik

"kleconego" skarbu - wbrew opinii o antyspołecznym charakterze Polaków, o ich braku posłuchu dla tych, którym zaufali". W zakończeniu artykułu pisze Jerzy Narbut: "Miejmy nadzieję, że Paweł Jasienica podejmuje temat o "polskiej anarchii" w jakiejś obszernej publikacji, "której daj nam Boże niedługo czekać". Potrzebna jest, by - bez tendencji rozkładając blaski i cienie przeszłości - oddała nam sprawiedliwość przez zachowanie rzeczywistych proporcji. Potrzebujemy bardzo odrodzenia zaufania do nas samych. Nie dla wzrostu zarozumiałości, która jest matką racjonalizmu, lecz dla wzrostu wierności dobrym tradycjom. Ta wierność jest istotą patriotyzmu".

Może zatem niniejszą notę wydawcy trzeba było zacząć od informacji o prelekcji Pawła

Jasienicy; może, ale myślę, że jeśli ona wyprzedziła i zainspirowała dyskusję w "Przeglądzie Kulturalnym" - to nie będzie uchybienie, jeśli ograniczymy się do powyższego cytatu. Trudno by dziś było odtwarzać prelekcję, przebieg dyskusji, no i zachodzi pytanie, czy aby potrzeba.

Już 15 kwietnia w numerze 15 "Tygodnika Powszechnego", czyli w toku toczącej się w "Przeglądzie" dyskusji, ukazała się obszerna wypowiedź Jana L. Żukowskiego pt. "Spór o teorię charakteru narodowego", w tymże samym czasie zabrał głos Konstanty Grzybowski na łamach "Życia Literackiego", drukując 15 kwietnia w nr 15 artykuł pt. "Skoro wolność wymaga". W "Kierunkach" w nr 21 z 27 maja z Władysławem Bieńkowskim polemizuje Aleksander Bocheński.

